MYŚL NARODOWA

DWUTYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK VIII. Nr 21 WARSZAWA, 1 WRZEŚNIA 1928 R. CENA NUMERU 1 zł.

O IDEOLOGJI „PAŃSTWOWEJ"

W WYDANEJ niedawno broszurze p. t. „Przed rewizją Konstytucji"[1]) p. Stanisław Bukowiecki sformułował cel zamierzonej reformy, ideę naczelną, w imię której rządzący dzisiaj Polską obóz „sanacji" przystępuje do prac nad zmianą ustroju Rzplitej. Tą ideą naczelną ma być „interes państwa". Chodzi o „powołanie do stanowczego głosu i aktywnej roli czynników, od których spodziewać się można ujmowania sprawy państwowej wyłącznie z punktu widzenia racji stanu".

Pogląd, że państwo — to „absolut zbiorowości ludzkiej", twór, będący „sam w sobie celem", że „dobro państwa jako takiego stanowi naczelny sprawdzian politycznego działania,"[2]) od niejakiego czasu usilnie jest w Polsce szerzony. Spory u nas jest zastęp ludzi, co przypuszczają, że pogląd taki może stać się źródłem nowej, odrębnej ideologji politycznej, że z tej zasady ogólnej uda się wyprowadzić całkowity program ustroju państwa, polityki gospodarczej, narodowościowej i t.d. „Interes państwowy", „racja stanu"—stały się niejako zawołaniem bojowem drużyny, co pod znakiem „współpracy z rządem" stacza walkę z ideologją narodową i narodową polityką. Jest to hasło wspólne całemu Bezpartyjnemu Blokowi, poczynając od skrajnie lewego jego skrzydła, Partja Pracy czy Związku Naprawy Rzplitej, kończąc na ziemiańsko-monarchistycznej grupie p. Mackiewicza, wyznającego, że „interes państwowy Polski przeniósł nas z obozu... nacjonalizmu do obozu przeciwnego"[3]). „Dziennik Lwowski", miejscowy organ „piłsudczyków", perswaduje i wzywa: trzeba jaknajprędzej „dotychczasowy niższy kult narodowy... przemienić na wyższą, własną religię państwową!" (nr. 115 r. 1927).

Jakaż jednak treść rzeczywista zawarta jest w tem haśle „interesu państwowego", jakież kryją się w niem założenia i wnioski? Państwo jest to uposażona we władzę zwierzchniczą organizacja ludności, na określonem terytorjum. Otóż ilekroć fakt jakiś uznawany jest za zgodny z interesem jakiejkolwiek organizacji, zdanie to oznacza poprostu (niezależnie od roli dziejowej samej organizacji, jej zasięgu i charakteru), że fakt powyższy uważa się za odpowiadający celowi, który owa organizacja ma urzeczywistniać. Zgodne zatem z interesem np. Kościoła Katolickiego jest to wszystko, co pomaga do zbawienia dusz oraz szerzenia prawd Wiary; zgodne znów z interesem jakiejś spółki akcyjnej będą takie działania, które prowadzą do powiększenia zysku akcjonarjuszów. Właśnie dlatego poszczególne jednostki i grupy niejednokrotnie tak odmiennie rozumieją interes państwowy, ponieważ podstawą tych różnic jest rozmaicie pojmowany cel państwa, już to indywidualistycznie, jako dobro każdego poszczególnego obywatela, już to jako dobro historycznie wytworzonej „moralnej istności" — narodu, jako urzeczywistnianie tak czy inaczej ujętej idei etycznej i t. d.

Zapewne, teorerycznie przypuścić możnaby także istnienie organizacji, stanowiącej cel „sam w sobie", jakiegoś np. stowarzyszenia pod nazwą „Stowarzyszenie, którego celem wyłącznym byłby tylko „interes Stowarzyszenia". Interes ten polegałby wówczas na coraz wspanialszym rozroście organizacyjnym „Stowarzyszenia", werbowaniu nowych członków, których jedynem zada-

[1]) Warszawa, 1928. Nakładem Związku Naprawy Rzeczypospolitej.

[2]) Stanisław Bukowiecki: „Polityka Polski Niepodległej", Warszawa, 1922.

[3]) Stanisław Mackiewicz: „Kropki nad i", nakładem „Słowa" 1927.

niem stałoby się werbowanie członków dalszych i t.d. Logiczne umysły zwolenników „ideologji państwowej" nie cofają się przed taką konsekwencją ich programu. W miesięczniku „Myśl Mocarstwowa" (nr. 3—6 r. b.) znaleźć można następujące rozważania: „Wprowadzone pojęcie polskiej racji stanu wymaga określenia bliższego... Jedno nie ulega wątpliwości, że stworzenie mocarstwa polskiego, to między innemi powiększenie terytorjalne państwa. W związku z tem bowiem idzie wzmożenie się bogactwa materjalnego i ilości ludności..." Pogląd taki istotnie wyjaśnia bardzo wiele. Oczywiście, „powiększenie terytorjalne" nastręcza trudności poważne, tymczasem tedy na czasie jest raczej „wzmożenie się... ilości ludności". Jakże wspaniały triumf tej myśli mocarstwowej podziwialiśmy w roku ubiegłym, kiedy 1.621.150 żydów na kresach wschodnich otrzymało obywatelstwo polskie!

Nawet najbardziej oderwane konstrukcje ideologiczne, jeśli mają przedstawiać wartość jakąkolwiek, nie mogą stawać w sprzeczności z niewątpliwemi faktami historycznemi i psychologicznemi. Głosiciele „wyższości" idei „państwowej" nad narodową powinni zachować w pamięci, że ta część powierzchni Europy, gdzie dziś jest Rzeczpospolita Polska, i przed wojną światową znajdowała się pod władzą państw, nawet pod władzą mocarstw. Jeśli przeto Polak walczył z przemocą zaborców, to nie w tym zamiarze, aby stać się obywatelem „państwa w ogólności", boć przynależność państwową posiadał, ale po to tylko i jedynie, ażeby odbudować własne Państwo Polskie. I znów jasne jest, że nie chodziło tutaj o samą nazwę państwa, ale o fakt realny, o to, by było ono rzeczywiście państwem Narodu Polskiego, obrońcą jego cywilizacji, najpełniejszym, niczem nieskrępowanym wyrazem jego dążeń dziejowych.

Oczywiście nie jest rzeczą zdrożną, gdy narodowi, co po zgórą stu latach niewoli odbudowuje własne państwo, politycy i publicyści usiłują wyjaśniać wielką doniosłość zmiany, jaka się w jego bycie dokonała. Więź duchowa, łącząca jednostkę z narodem i jego cywilizacją, odzyskała obecnie wyraz w tem, co stanowi istotę związku obywatela z państwem,—w więzi prawnej: cóż naturalniejszego, niż kładzenie szczególnego nacisku na znaczenie tej właśnie więzi prawnej, na stworzone przez nią obowiązki, na jej wartość moralną i wychowawczą w życiu narodu. Szacunek dla prawa, wypływająca stąd powaga legalnej władzy państwowej, to w kształtowaniu się duchowem narodu czynnik błogosławiony i twórczy: nawet jednostka zasymilowana bardzo słabo, nie zespolona psychicznie z całokształtem cywilizacji narodowej, potrafi spełniać obowiązki obywatelskie i poledz śmiercią żołnierską w razie potrzeby, wiedząc tylko, że „łamać prawa nie wolno", że „przysięga jest rzeczą świętą". Pochlebstwem byłoby jednakowoż twierdzenie, iż utrwalanie tych właśnie wartości moralnych w życiu Polski współczesnej stanowi najistotniejszą treść ideologji politycznej obozu „sanacji"...

Dlatego też właściwego znaczenia haseł „państwowych", głoszonych przez obóz przewrotu majowego, szukać należy gdzieindziej. Sens ich jest o wiele bardziej... praktyczny.

Kiedy w przededniu wojny światowej powstał w Polsce prąd patrjotyzmu gospodarczego, popierania polskiego przemysłu, handlu i rzemiosła, kiedy prąd ten z dnia na dzień stawał się mocniejszy i szerszy, wówczas pośród związanych z Żydami i zależnych od nich kół „demokratyczno-postępowych" rzucono hasło: Popierajmy przemysł i handel krajowy... Zrozumiano tam, że walka z nakazami patrjotyzmu gospodarczego w imię egoizmu osobistego, w imię zasady kierowania się przez jednostkę wyłącznie własnym interesem materjalnym, nie może być ani zaszczytna, ani zwycięska. Znaleziono hasło, miłe dla uczuć patrjotycznych, a jednocześnie wygodne, nie przeszkadzające w niczem zarówno handlarzowi żydowskiemu, jak jego polskiemu wspólnikowi.

Dosyć rozejrzeć się w życiu politycznem Polski dzisiejszej, aby zobaczyć, w jak wielu wypadkach t. zw. „ideologja państwowa" w podobny całkiem sposób używana jest, mniej lub więcej świadomie, jako nazwa, pokrywająca politykę zgoła z punktu widzenia narodowego nie chwalebną. Hasło, że państwo—to tylko suma obywateli, a polityka państwowa — to wypadkowa egoistycznych interesów jednostek i klas, razi swą brutalnością; zasada państwa narodowego obowiązuje znów do prowadzenia polityki, uniemożliwiającej pewne porozumienia, rozrywa rozmaite więzy, ogromnie pomocne, jeżeli chodzi o dojście do władzy i utrzymanie się przy niej. Natomiast ideologja interesu państwowego „samego w sobie" jest w swoim rodzaju arcydziełem dogodności: działa skutecznie na sentyment patrjotyczny, a jednocześnie może być pojmowana tak rozciągliwie, że nakazuje... ścisły sojusz wyborczy ze „współobywatelami" Żydami przeciwko narodowcom — Polakom.

Ale wielka twórczość ideowa nie rodzi się z takich „zręcznych" pomysłów taktycznych. Pustki wewnętrznej nie zapełni się układaniem formuł bez treści, aczkolwiek chwilowo mogą być one w grze politycznej pomocne, ponieważ do niczego nie obowiązują. Idei państwa narodowego z jednej strony, ideom państwa liberalnego czy komunistycznego z drugiej—myśl „sanacyjna" po widocznym wysiłku przeciwstawiła: ideę państwa... państwowego. Nieduży to krok naprzód. Z góry można być przekonanym, że taka idea nie da początku nowemu programowi politycznemu, ani w dziedzinie zagadnień ustrojowych, ani w żadnej innej, chociażby nawet,—dla większego efektu i powagi—dobry, dawny polski wyraz „państwo" zastąpiono nieznanym jeszcze słownikowi Lindego nowotworem: „państwowość".

JAN REMBIELIŃSKI

PARTYJNICTWO I SANACJA

HISTORJA O PRAPRADZIADACH DLA PRAPRAWNUKÓW

OKRESEM największego wyuzdania walk partyjnych było u nas panowanie Augusta III. Borykały się ze sobą stronnictwa[1]) Potockich i Czartoryskich. Wspólną ich cechą była u góry pycha, u dołu demagogja; pobudką do walki — żądza władzy; zewnętrznem tej walki usprawiedliwieniem — rozmaity pogląd na politykę zagraniczną, gdy jedni upatrywali głównego wroga w Rosji, drudzy w Prusiech. Pozatem były między stronnictwami poważne różnice: gdy Czartoryscy pracowali na sejmach, Potoccy knuli podziemne spiski. Czartoryscy ostrożnie, wytrwale dążyli do reformy, przedewszystkiem zaś do naprawy skarbu i wzmocnienia armji. W tym kierunku udawało im się też czasem pociągać inne fakcje wielkopańskie. Potoccy gadali czasem o reformach, ale na każdym sejmie spychali w przepaść syzyfowy kamień prac przeciwnika. Czartoryscy krzewili karność polityczną i w niektórych chwilach przynajmniej przed sejmami tworzyli około siebie zawiązek głośnej opinji publicznej. Potoccy chowali głębokość dla siebie, o opinję stronników niewiele się troszczyli. Ich obstrukcja udaremniała lub zrywała sejmy, wyzyskując słabość większości parlamentarnej i bierny nastrój ogółu — co jednak nie przeszkadzało hetmańskiej partji Potockich stroić się w piórka jedynych obrońców wolności, jedynych „patrjotów", jedynych „republikantów". Koniec końcem, w oczach takiej opinji, jaką wychowała u nas doba saska, Czartoryscy musieli przegrać, skoro żądali ofiar, a nie umieli nastarczyć dobrodziejstw. Ale czy wygrali tem samem Potoccy? Czy oni choćby wiedzieli, jak się zwycięża w polityce i co się po zwycięstwie robi?

Był między nimi jeden taki Machjawel, który myślał, że wie, czego chce. Pan Antoni Potocki, wojewoda bełzki, miał dziesiątki sposobności, by ofiarować familji współdziałanie swej rodziny, i nie byłoby wówczas siły w kraju, którąby tym dwóm partjom zjednoczonym mogła się oprzeć. Ale o takiem prostem pojednaniu domów pan wojewoda nie myślał. Według jego projektu (z r. 1746) powinny obie rywalizujące potęgi wezwać cudzoziemskich protektorów; dwór wtajemniczony w plany wojewody uda, że się ich lęka, pobudzi do kontrakcji Czartoryskich, sam jednak w decydującej chwili przyjmie współpracę Potockich, którzy za to otrzymają kierownictwo zbawiennej konfederacji, przeprowadzą reformy lepiej niż familja i — w myśl tajemnej intencji, wojewody — pognębią tę ostatnią. Machjawelski plan został na papierze, jako pierwsza próbka polskiej metody godzenia stronnictw i przedsmak tego, co nastąpi później.

Znalazł się potem inny genjalny polityk, który po swojemu określił istotę narodowej niemocy i swoje własne zaproponował lekarstwo. Chorobą miało być partyjnictwo, lekarstwem — bezpartyjność, a lekarzem JW. jmp. Jerzy Mniszech, marszałek nadworny koronny. Mniszech marzył o wielkości. W jego albumie pełno jest takich sentencyj, jak: „Lud zwykł sądzić o ministrach, wybranych przez panującego, jak ślepi o kolorach", „Jest to przywilejem wielkich ludzi mieć godnych pogardy nieprzyjaciół", „Bywają racje, których nie należy mówić władcy inaczej jak na ucho" — i t. p. Pragnąc się wzbić ponad naród, a nie mając w głowie żadnego jasnego programu, postanowił Mniszech zdezorganizować na sejmach partyjną przewagę Czartoryskich. Poradził swemu teściowi, wszechwładnemu ministrowi Brühlowi (o królu lepiej nie mówić), by przestał popierać ówczesną prawicę, t. j. familję Czartoryskich, i zbliżył się do lewicy, t. j. republikantów. Co więcej, obaj, teść i zięć zaczynają od r. 1752 werbować własnych stronników. Jaki taki, odczepiwszy się od Czartoryskich lub Potockich, a uczepiwszy się dworskiej klamki, uchodził odtąd (jak np. p. Szołdrski w oczach pamiętnikarza Matuszewicza), za „pana bezstronnego".

Po kilku latach udało się Mniszchowi dokonać wielkiego dzieła: opinję, źle zorganizowaną w stronnictwa, zdezorganizował jeszcze gorzej, zwłaszcza zaś rozbił i zdezorjentował „patrjotów-republikantów". Pod obłudnym szyldem współpracy z dworem powstał wtedy (1758) „bezpartyjny" blok wysługiwania się Brühlowi. Kogo tam nie było w tem towarzystwie! Były królewięta i mociumpany, karmazyny i szaraki, był i Radziwiłł Rybeńko i Radziwiłł Panie Kochanku, i niejeden Sapieha, niejeden Lubomirski, i Wacław Rzewuski, obok takich libertynów, jak Poniński, Gurowski, Rogaliński i poczciwi monarchiści z Litwy, jak Kazimierz Wołłowicz, i czciciele hetmańskiej buławy... A wszystko wytresowane, dworskie, zapatrzone w pańskie oko Brühla, wypatrujące tłustych darów z jego łaski, — wszystko pełne nienawiści do starych partyjników — Czartoryskich. Ta organizacja pochlebstwa, nepotyzmu i symonji poza popieraniem karjery członków, ma inny cel dalszy — popieranie zagranicznej polityki dworu. Zresztą jest to „bezpartyjne" stronnictwo z programem *in blanco*. „Nie jest ani republikańskiem, choć pochłonęło większość dawnych republikantów, ani konstytucyjnem, gdyż potrafi deptać odwieczne ustawy i zdradza zupełną niewiarę w konstytucjonalizm, ani monarchicznem, jeżeli naprawdę duchem i zasadą rządów monarchicznych jest cześć, a nie zarozumiałość". („Polska w dobie wojny siedmioletniej", II,10).

Nastały najcięższe lata doby saskiej. Na sejmach zamilkła walka o reformę. Sami przyjaciele dworscy zrywali je za pieniądze lub na rozkaz protektorów. Na sejmikach hałasowały gromady ciemnej demokracji szlacheckiej, rozbijały się radziwiłłowskie „albejczyki" z „wołczyńskiemi wilkami". Nawet na najwyższe sądy, jak trybunał i asesorję, położyła rękę korrupcja dworska. W braku sił własnych dwór terroryzował obywateli obcym żołnierzem. Kraj przechodził ciężkie przesilenie walutowe z dewaluacją złotego, waloryzacją i drożyzną, dziesiątki miljonów przechodziły z rąk polskich do kas arcyfałszerza Fryderyka II i do brudnych kieszeni jego wspólników żydów. Takie to dobrodziejstwa ściągnął na Polskę mniszchowski bezpartyjny blok wysługiwania się Brühlowi, zajęty jedyną misją — zniszczenia partji Czartoryskich.

Wtedy to z piersi najmędrszego polaka, Konarskiego, wydarło się wołanie o ratunek. Bezstronny dotąd obywatel porozumiał się z obozem rzeczywistej naprawy i pomógł mu do organizowania na nowo ogłupiałej opinji. Mając mocne przekonanie — zdaniem wielu dzisiejszych reformatorów, błędne, — że państwo

[1]) Oczywiście używamy tu tego wyrazu nie w znaczeniu dzisiejszem, lecz w sensie specjalnym, jaki dla dawniejszych epok ustaliliśmy w rozprawie „Z dziejów naszej partyjności" (Studja „Mrok i Świt" Warszawa 1911).

powinno stać na nogach, t. j. na obywatelach, a nie na głowie tj. na rządzie, Konarski przez lat 30 otwierał zasklepione mózgi, kształcił młodzież, przez młodych trafiał do starych, aż wreszcie, wychowawszy pokolenie, które go zrozumie, ogłosi wyznanie swojej wiary politycznej.

Gdy dwór ignorował najważniejszy problem uzdrowienia sejmów i tylko zrzadka udawał przez sobą, że nad sejmami zbuduje jakąś Radę Stanu, naprawdę zaś napawał się zupełnie, jak w podbitym kraju, samowolą, Konarski, prawdziwy republikanin, wskazał Polsce jej podstawowy kanon wiary politycznej: „Sejm nasz najwyższy rządca“, i dopiero na uzdrowionym sejmie, w związku naprawą ordynacji wyborczej, kazał budować silny, bo solidarny z narodem rząd. Można się spierać o to, czy nie nazbyt ufał Konarski sejmowładztwu, ale to pewna, że Sejm Czteroletni innej drogi do odrodzenia narodu nie znajdzie. Posłuchali Konarskiego partyjnicy Czartoryscy, zlekceważyli „panowie bezstronni“, t. j. stronnicy sascy. W ich oczach wszystko, co familja w latach 1764-66 zrobiła dla przywrócenia narodowi polskiemu samowładności, wydawało się despotyzmem, gnębieniem wolności, zamachem na socjalne zdobycze warstwy szlacheckiej. Przyszła szarańcza, zwana Konfederacją Radomską, — i zniszczyła pierwsze reformy.

Co potem nastąpiło wiemy z podręczników. Ale do niedawna nikt nie wiedział najciekawszego dowcipu, jaki się wylągł w głowach „patrjotów“ i „republikanów“ niegdyś dworskiej, a potem saskiej barwy. Oto najśmielszy w całym bloku polityk, Adam Krasiński, obmyślił dla przyjaciół plan reform, prześcigający wszystko co wypraktykowali Czartoryscy. Zaprowadzenie większości głosów na sejmach, rząd trwały w kształcie Rady Nieustającej, tron dziedziczny, uwłaszczanie włościan w królewszczyznach, — to wszystko wypisał sobie w programie mądry biskup Krasiński, oczywiście w najgłębszej tajemnicy przed tłumami szlachty, które jednocześnie podburzał przeciwko dezpotyzmowi Czartoryskich. A może sposób działania Krasińskiego był łagodny i praworządny w porównaniu z twardą metodą książąt? Otóż wiadomo, że familja użyła do zwycięstwa na ostatniej elekcji obcego, rosyjskiego wojska, lecz potem, zorganizowawszy naród w konfederację, postępowała na sejmikach i sejmach zgodnie z demokratycznemi zasadami, że władza pochodzi od narodu, a naród wyraża swą wolę większością głosów. Biskup kamieniecki zamierzał się urządzić inaczej: onby najpierw sklecił poufną dyktaturę osób wtajemniczonych, potemby sprowadził na pomoc Turków i Tatarów, przeprowadził w ścisłem kółeczku radykalną reformę, i dopiero do gotowego dzieła kazałby przystępować wszystkim polakom pod grozą tureckiej szabli i tatarskich łyk.

Takiemi drogami złota wolność wybierała się w wędrówkę — do silnego rządu. Że celu nie osiągnęła, że zagrzęzła w wojnie domowej, a ojczyznę naraziła na rozbiór, to rzecz wiadoma. Bądź co bądź, nie zginęła bezpotomnie: pozostał po niej osobliwy testament polityczny, opiewający mniej więcej tak:

„Gdy widzisz, że część rodaków pracuje według wspólnego programu dla dodania siły państwu, to nie pomagaj im, ale przedewszystkiem oskarżaj o zamach na demokrację i wolność; potem nazwij to partyjnictwem i postaraj się wyjałowić społeczeństwo z wszelkiej wspólnej myśli. Jeżeli tamci zdobędą rząd, to znów nie podaj im ręki, ale wytocz krew bratnią i rozciągnij nad krajem dyktaturę. O sejmy nie dbaj, opinją gardź, wzmacniaj rząd, ale tylko dla siebie. Przy tem wszystkiem jednak nie zapominaj gardłować za demokracją“.

WŁADYSŁAW KONOPCZYŃSKI

W MOCY ANTYCHRYSTA

(Dokończenie)

II

ZADANIEM książki naszego autora *) było zorjentowanie czytelnika przedewszystkiem w całości faktów rewolucji rosyjskiej. Przedtem jednak autor, w paru jej wstępnych rozdziałach, zajął się wyjaśnieniem warunków, w jakich ona powstawała w Rosji, dał charakterystykę podłoża materjalnego i duchowego, z jakiego wyrosła. To wszystko, co autor mówi o naturze kraju, o właściwościach rasowych jego mieszkańców, o zależnym od tego rozwoju form zasadniczych instytucyj caratu (państwo absolutne, prawosławie), i t. p. jest trafnie i niebanalnie ujęte. Zastanawiając się nad zagadnieniem t. zw, „eurazyjskości“ Rosji, nad tem, co ją odróżnia zarówno od Azji, jak i od Europy, autor twierdzi, że tu główna różnica polega na braku tradycjonalizmu. Trzeba tu nadmienić, z powyższego braku zdawali sobie doskonale oddawna sprawę liczni Rosjanie, ro[illegible]żający tragizm własnych losów. Dość tu wspomni[illegible] o „obłąkanym“ Czaadajewie, który mówił: „Przyszedłszy na świat, jak dzieci nieprawe, bez dziedzictwa, bez związku z ludźmi, którzy nas poprzedzili na ziemi, w sercach naszych niema nic z tych pouczeń, które istniały przed nami. To, co jest przyzwyczajeniem, instynktem u innych narodów, nam trzeba wbijać do głowy uderzeniami młotka. Jesteśmy, że tak powiem, obcy dla samych siebie“ (p. „Pisma wybrane“). Jeszcze dosadniej wypowie to samo Aleksander Herzen: „Poszanowanie przeszłości? — zapytuje. Jakimże jest punkt wyjścia nowożytnej historji rosyjskiej, jeśli nie zupełne zaprzeczenie tradycji? Jesteśmy niezależni, dlatego że nie posiadamy nic — nic cobyśmy mogli ukochać“ etc.

Nikt z zajmujących się współcześnie powyższem zagadnieniem, nie jest w możności ująć lepiej istoty braku tradycjonalizmu w społeczeństwie rosyjskiem. Niemniej jednak i określenie naszego autora jest bardzo szczęśliwe. Pojmuje on tradycyjność jako poszanowanie i przywiązanie do form osiągniętych przez ewolucję pokoleń w ciągu wieków poprzednich, oraz mniej lub więcej świadomy kult rodzimej cywilizacji w jej historycznym rozwoju.

To właśnie jest podstawą psychiki organizmów społecznych Europy, a jeszcze bardziej Azji, i tu jaknajsłuszniej autor utrzymuje, że ewolucja dziejowa rosyjskiego państwa posiada w sobie zbyt mało czynników, któreby mogły ów kult i owo przywiązanie utrwalić.

Ponieważ jużeśmy dotknęli zagadnienia psychiki, to tu zauważę, iż to, co autor mówi dalej o „duszy“ rosyjskiej, o jej biegunowości oraz krańcowości, o braku poczucia umiarkowania i granic, o niechęci do odpowiedzialności, o woli, mającej wstręt do wysiłku moralnego i t. p., — to wszystko również nie jest bez wartości, niekiedy nawet dobrze świadczy o jego przenikliwości i samodzielnem myśleniu.

*) Hieronim Poleski. Rosja wczoraj, dziś i jutro. Lwów 1927.

W tem jednak sporo jest „puszczonego", jak powiadają u nas artyści — malarze. Zbyt wiele nacisku kładzie np. autor na dwa przysłowiowe wyrażenia rosyjskie, słynne „*niczewo*" i „*naplewat*", które mają nas wtajemniczać w mniej uchwytne, oddźwięki duszy rosyjskiej. Wprawdzie Francuzi, od czasu wizyty admirała Gervais w Kronsztadzie, niemal całą znajomość swoją „duszy" rosyjskiej opierali na tych dwóch wyrazach... można więc i z nich wiele treści wydobyć, nie należy jednak zbytnio podobnemi danemi się przejmować, tembardziej, że nie brak nam dobrych źródeł (w przedwojennem piśmiennictwie polskiem i rosyjskiem) do należytego poznania psychiki rosyjskiej.

Bądź jak bądź, to wszystko, co w tej mierze przedstawił autor, posłużyć może czytelnikowi do lepszego zrozumienia osobliwych stron rewolucji rosyjskiej oraz podboju bolszewickiego. Niepodobna, dla braku miejsca, iść śladem cennych poglądów autora i opowiadać dzieje tego niebywałego podboju olbrzymiego społeczeństwa przez rewolucyjną mniejszość oraz wyrwania przez nią całkowitej władzy z rąk rozkładającego się państwa rosyjskiego. Poprzestać musimy na paru główniejszych uwagach. Zaczęło się od bolszewizacji społeczeństwa (Komitetów obywatelskich, związków zawodowych, rad, sowietów miejskich i dzielnicowych i t. p.) zapomocą gwałtownej propagandy w całym kraju. Na polu bolszewizacji najwyższą działalność rozwinęli żydzi. Unikali oni roli rewolucyjnych komiwojażerów w środowiskach (armja, wieś) bardziej dla nich ryzykownych, natomiast gorliwie pracowali w centrach, gdzie się zbiegały nerwy rewolucji, w rodzących się jak grzyby po deszczu komitetach rewolucyjnych, w prasie, we wszelkich możliwych organizacjach. Część z nich, powiada autor, pracowała sumiennie dla rewolucji, reszta zaś zajmowała się handlem i spekulacją, kwitnącą w Komitetach aprowizacyjnych, opanowanych wyłącznie przez naród wybrany. Sama jednak praca nad rozkładem państwa i społeczeństwa nie wystarczała dla ujęcia władzy w swe ręce, dla osiągnięcia tego rezultatu trzeba było zamachu stanu i to w najgwałtowniejszej formie.

Zdając z sobie z tego sprawę, bolszewicy zajęli się uzbrojeniem i wyćwiczeniem szturmowych oddziałów, złożonych przeważnie z szumowin społecznych. Rząd Tymczasowy nie czynił w tem bolszewikom żadnych przeszkód.

Zamachowa konspiracja pozostawała w ukryciu do czasu, w którym się przekonano, że można się nie obawiać — a obawiano się tego — zapobieżenia przewrotowi ze strony rządu oraz zmiany nastrojów lewicowych w społeczeństwie.

Gdy te obawy minęły, nastąpiło zbrojne powstanie bolszewickie, pokierowane pewną i bezwzględną ręką ogarnęło ono obie stolice i dało zwycięstwo uzurpatorom. Gwiazda pięcioramienna zabłysła nad murami Kremlu, oczekiwany od wieków w Rosji Antychryst wstąpił na obalony — zresztą już przedtem, i to przy współudziale tych, co z rozrzewnieniem mówili o „ubóstwianym monarsze" — tron carów.

Co było następstwem udanego przewrotu—wiemy: dalszy ciąg podboju rozstrojonego społeczeństwa, wprowadzanie „*régime*'u" sowieckiego i utrzymywanie się przy władzy.

Przedewszystkiem to ostatnie, od tego bowiem zależało wszystko inne, słusznie więc autor zaznacza, że było to głównym celem bolszewickiej „racji stanu".

Za najskuteczniejszy środek utrzymania się przy władzy uznano terror.

W początkowym okresie — powiada autor — stosowano terror bez jakiegokolwiek systemu. Był on zrozumiałą konsekwencją zbrodniczej psychologji większości Komisarzy. Równocześnie jednak uznano go za nieodzowny środek nietyle dla ostatecznego zgnębienia sił burżuazji, ile raczej dla odebrania jej możności oporu na przyszłość. „Pierwszy Lenin — są słowa autora — czemu dziś starają się gorliwie zaprzeczyć oficjalne źródła bolszewickie, uznał systematycznie i masowo przeprowadzane egzekucje za niechybny środek w walce o władzę. Lenin wysunął terror jako metodę. Swierdłow i Urycki (żydzi) przeprowadzili ją w życie. Środek ten stosowano *con amore*, by działający w myśl tajnych instrukcyj agenci czerwonego rządu mogli jako „mściciele wiekowych krzywd ludu" wyładować cały zasób sadystycznego okrucieństwa. Mordując i wywłaszczając w imieniu proletarjatu, prześladowcy rzadko zapominali o swym interesie"... (str. 127)

Ta najwyższa „racja stanu" będzie niezmiennem natchnieniem rządu sowieckiego. Zadecyduje ona, lepiej niż wszelkie programy i doktryny komunistyczne, o polityce wewnętrznej i zewnętrznej Sowietów; wywoła wszelkie wywłaszczenia, likwidacje, nacjonalizacje mienia osób prywatnych, wszelkie zbrodnie i katowania czerezwyczajki wewnątrz kraju — wszelkie oszustwa, perfidje i matactwa ustawiczne w stosunkach z obcemi państwami.

To wszystko, rozmaite zwroty i skoki w ogólnej polityce sowieckiej, te lub inne zmiany w polityce ekonomicznej (jak np. t. zw. „Nep".), omawia autor wytrawnie w paru rozdziałach, wykazując mistrzostwo czerwonych władców Rosji w wyzyskiwaniu i ujarzmianiu sił społecznych na własną korzyść oraz ich przewrotny cynizm w stosunkach zewnętrznych. To wszystko, niestety, musimy pominąć.

Tak więc do utrzymania się przy władzy naginają się wszelkie metody działania bolszewickiego, — tej „racji stanu" poświęca się wszystko, zużywają się na nią wszelkie siły fizyczne i energje duchowe, jakiemi mogą rozporządzać Sowiety. I trwa to tak wsród mordów i pożogi, tłumienia buntów i zakusów kontrrewolucyjnych, wśród zniepprawienia i zwyrodnienia ogólnego, wzmożonych chorób, głodu i nędzy ludności, wśród intryg, wybiegów i szalbierstw wszelkiego rodzaju — dziesięć już lat!

Można więc pytać: jak długo może to trwać jeszcze, i w czyim interesie leży to przewlekłe trwanie władzy Sowietów? Obalenie caratu, wogóle unicestwienie potęgi państwa rosyjskiego leżało w interesie licznych żywiołów świata: uciskanych narodów, rewolucjonistów rosyjskich i międzynarodowych apostołów wolności, wreszcie innych państw, którym wzrost potęgi Rosji i jej dążności imperjalistyczne odbierały sen i krzyżowały ich własne plany polityczne. Przeciwko byłemu państwu carów tworzyły się koalicje zbrojne, spiski rewolucyjne, przymierza natury ekonomicznej i finansowej: — walczono z niem na polach bitew i na rynkach światowych. Aż oto, gdy zostało obalone i zastąpione Związkiem republik sowieckich, który dąży, o wiele energiczniej i złośliwiej od caratu, do hegemonji w świecie i zagraża licznym jego potęgom, jakoś nie spotykamy wśród nich głębszego przekonania o konieczności solidarnego przeciwstawienia się Sowietom — nie tworzą się przeciw nim koalicje zbrojne, nie powstają sojusze innej natury.

Owszem, z większą ceremonją postępuje z nimi świat, zagrożony przez nich, niż z kimkolwiekbądź, a temu, kto z nimi jest w otwartej walce — potrafi ją utrudniać, albo z miną obojętną wyczekuje jej wyniku. Czyż mamy przypominać zachowanie się rozmaitych mocarstw europejskich wobec Polski, walczą-

cej w 1920 r. z najazdem bolszewickim? Czy mamy zwracać uwagę na fakty tak znamienne, jak wyrok na jednego z najohydniejszych zbrodniarzy świata, Belę Kuhna, i pełne troski o jego zdrowie zwracanie go Sowietom, jak skarbu cennego. Te i tym podobne fakty świadczą wymownie, że świat oszczędza władzę sowietów, uznaje jej prawowitość, usprawiedliwia ich byt występny. Nawet istytutucje, występujące wciąż w obronie „praw człowieka i obywatela", wolą potępiać uroczyście wyssany z palca „biały" terror polski czy faszystowski, niż bodaj półgębkiem zaprotestować przeciw temu, co wyprawia „czerwony" terror Sowietów, uznany przez nie jako najwłaściwsza metoda rządzenia.

W zwalczaniu „ideologji" sowieckiej nie widzimy również solidarności wśród tych wszystkich, którym ona odmawia racji bytu. Burżuazja Europy, którą sowiety skazują na zagładę i traktują z pogardą, raczej nagina i przystosowuje swą „ideologję" do komunistycznej, niż zwalcza ją solidarnie i konsekwentnie.

Druga międzynarodówka, która niby to zwalcza komunistów, tak samo jak oni dąży do pognębienia kapitału oraz do „dyktatury proletarjatu", w istocie więc niezbyt się różni od 3-ciej, komunistycznej. Podobnież niewiele się różnią od niej zwolennicy rządów robotniczo-włościańskich, choćby nawet występowali pod lekkim znakiem „komunizmu narodowego", który, na wzór sowiecki, potrafi tworzyć swoje organizacje wywrotowe z szumowin społecznych i z inteligencji karjerowiczowskiej. Słowem świat współczesny: mocarstwa współzawodniczące ze sobą, dbałe o równowagę polityczną Europy, plutokracja masońska, międzynarodówki socjalistyczne, pół-socjalistyczne, żydowskie, a wreszcie, rozplenione w naszych czasach, „inteligenckie" komiwojażerstwo rewolucyjne — wszystko to raczej wdzięczy się i przymila do Związku republik sowieckich, niż zwalcza go otwarcie i pragnie nieobłudnie władzy jego kres położyć.

Każdy tu ma nadzieję upieczenia przy jej ogniu własnej pieczeniu, nie troszcząc się zbytnio o to, czy nie sięgnie on dalej, niż tego wymaga osobisty interes.

Tak rzeczy się miały w przededniu przewrotu bolszewickiego w Rosji, w czasie samego zamachu, w początkach utwierdzania się władzy sowieckiej — i tak się mają obecnie, te same bowiem przyczyny, co działały wówczas, działają dzisiaj. Coś tam podobno, jak utrzymuje nasz autor, popsuło się od paru lat w stosunkach przyjaźni między „czerwoną" masonerją a „białą", burżuazyjną; harmonja, jaka istniała między niemi w czasie rozwalania caratu, została nadwyrężona, „biała" więc zaczęła zwalczać „czerwoną".

Dość to jednak niewyraźnie wygląda, a w dodatku „biała" masonerja zwalcza niestrudzenie podawnemu — każda u siebie — istotnych wrogów komunizmu, energiczniej im się przeciwstawia, niż jego agitacyjnej propagandzie w całym świecie.

Z zewnątrz słowem nic zbytnio nie grozi władzy sowietów, żaden poważny przeciwnik nie usiłuje wytrącić im jej z rąk.

A jakże wewnątrz Związku Republik Sowieckich? Poszukując na to odpowiedzi w książce autora „Rosja wczoraj, dziś i jutro", znajdujemy sporo nader cennych wyjaśnień w tej mierze, z tego jednak daleko do wniosku, że władzy sowieckiej lada dzień zagraża nieuchronnie katastrofa. Mówiąc o rodźwiękach i tarciach, zarówno ideowych jak osobistych, których widownią stały się centralne organy rządu po śmierci Lenina, autor zgóry ostrzega, iż „myliłby się ten, kto, opierając się na intrygach czerwonej kamarylli Kremlu, snułby nadzieję na jakąś *sui generis* rewolucję pałacową". (Możemy tu dorzucić, że nawet skazanych za „kontrrewolucję" — jak ostatnio Trockiego, Radka, Kamieniewa i Zinowiewa — kamarylla powoli przywraca do łaski). Niebezpieczeństwo tkwi w czemś innem — twierdzi autor. Oto wodzom bolszewizmu brak jest następców. Nowe siły nie mogą się rodzić w sowieckich warunkach; bolszewicy mają aż nadto siepaczy, brak im natomiast mężów stanu, a to się zacznie wkrótce mścić na nich. Można byłoby na to zaradzić przez ponowne wprowadzenie żydów na naczelne stanowiska, gdyż oni jedni rozporządzają w Rosji odpowiednim kontyngentem wybitnych mózgów. Przy dzisiejszych wszakże nastrojach Rosji powrót żydów na naczelne stanowiska jest, podług autora, bezwarunkowo wykluczony, (zresztą bez tych stanowisk, żydzi potrafili opanować „szóstą część globu"). Dalej niebezpieczeństwo może grozić ze strony armji. „Wystarczy bunt paru czerwonych marszałków — powiada autor — by Kreml był zdany na łaskę i niełaskę wojska, tembardziej jeżeli zostałyby wysunięte pogromowe hasła". Grożą rozruchy na tle religijnym, wśród wzrastającego głodu mistycznego. Bardziej jeszcze grożą fatalne skutki systemu ekonomicznego, wywołujące nieustanny odpływ zasobów Rosji zagranicę, a wewnątrz kraju ich marnotrawstwo, wskutek zużytkowania energji ludzkiej na doktrynerskie eksperymenty handlowo — przemysłowe oraz na walkę z prawami człowieka, mianowicie z prawem zysku z pracy i z prawem własności. Grozi niewypłacalność państwa etc, etc...

To wszystko, wywołując kryzys w rozmaitych dziedzinach życia, może doprowadzić do załamania się rządów sowieckich, do wybuchu, ale — konkluduje autor — jak to zwykle bywa w takich razach, wybuch powinien dopiero nastąpić jako wynik splotu konsekwencyj wszystkich kryzysów razem wziętych, przyczem, ze względu na obszar Rosji, niepodobna liczyć na ogólną żywiołowość odruchu. (Jest jeden tylko kierunek, podług autora, w którym „detonacja" może pójść niemal samorzutnie, nie trudno się domyśleć, że chodzi tu o pogromy żydowskie—i dla tego wszakże koniecznym jest impuls wyższego rzędu).

Jak długo mamy czekać na ten „splot konsekwencyj wszystkich kryzysów" — trudno odpowiedzieć.

Powinniśmy być, podług autora, przygotowani na wszystko, ale w obecnych warunkach fakt pozostaje faktem, że sowiety takie, jakiemi są, istnieją i władza ich trwa. Możliwość ewolucji sowietów na prawo, zgóry należy wykluczyć: wszystko jest w SSSR prawdopodobne oprócz kapitulacji. Historja Rosji uczy nas, że nigdy nie było w niej ewolucyjnych zwrotów, każde zaś przesilenie przejawiało się spazmatycznie, w krwawej formie. Katastrofa się zbliża— przepowiada autor — i jest konieczną, bo krwawe porachunki z katami będą równocześnie odchwaszczeniem zapuszczonej gleby.

Są to wszystko domysły i przewidywania. Kto ma dokonać owych porachunków, kto będzie odchwaszczał zapuszczoną glebę — i jak jeszcze! — na to trudniej o wiele dać zadowalającą odpowiedź, niż na pytanie: kiedy się skończy panowanie sowietów w Rosji?

A tymczasem władza ich, jaka jest, trwa, pozostaje ona wciąż w rękach Antychrysta, który już nawet „rzeczy wielkich" nie mówi, gdyż wszystkie okazały się kłamstwem i oszustwem, i „bluźnierstwa" jego mijają bez większego wrażenia, a mimo to tłumy mu się „kłaniają" i niewiadomo kto z bestją „walczyć będzie mógł" (słowa Apokalipsy).

WŁADYSŁAW JABŁONOWSKI

IDEOLOGJA „GŁOSU“ W PISMACH REYMONTA

(Dokończenie)

TRYLOGJA historyczna Reymonta—owoc nietylko sumiennych studjów nad obyczajami epoki, ale i „frasowania się tą strukturą historjo-konstruktywną, nad którą żmudzili się Popławski, Dmowski, Potocki“—ma jeszcze inne znaczenie. Hasło „*Nil desperandum*“ było przez całe życie hasłem samego Reymonta, który z pośród naszych pisarzy na przełomie w XIX i X zawsze bodaj najwięcej okazywał ufności w przyszłość naszego narodu. Największe duchy twórcze tego okresu, jak Wyspiański i Żeromski, nieraz pełni byli wątpliwości, gdy szło o przyszłość narodu. Nawet człek tak silnej natury, jak Kasprowicz, pytał chwilami: „Więc my skazani na wymarcie?“ Reymont zawsze był ufny, zawsze wołał: „*Nil desperandum!*“

W tem jest podobny do Kasprowicza, że potęgę narodu widzi w ludzie. Racławicka bitwa, ten pierwszy czyn orężny i świadomie patrjotyczny chłopa polskiego — natchnął Reymonta nadzieją, że kiedyś ten chłop będzie bronił granic polskich. Trylogja cała jest hołdem dla Kościuszki, którego Świętochowski słusznie nazwał „najdoskonalszem wcieleniem wszystkich pięknych pierwiastków duszy polskiej, nieprzejednanym i niepokalanym patrjotą, jedynym szczerym demokratą“ Polski przedrozbiorowej. Ważę się tu na słowo, że czem Kościuszko był w dziejach naszych politycznych, tem był Reymont w naszej literaturze: pierwszy chłopa naszego uczynił Polakiem i obywatelem i pokazał światu, jak to ów chłop, pospołu z innemi stanami narodu, umie walczyć przeciwko najeźdzcom.

Uwiecznieniem tej walki była nietylko „Insurekcja“. Mimo, że przeszłość narodu, zwłaszcza porozbiorowa, była Reymontowi doskonale znana, mimo, że się w nią wgłębiał i szukał w niej wskazań dla teraźniejszości, mimo że na niej budował swoje poglądy historjozoficzne i społeczno-polityczne, mimo, że marzył o upamiętnieniu — w powieści — roku 1830 i 1863 (o czem opowiadał red. Wasilewskiemu, p. „Myśl Narodowa“ Nr. 11 z r. 1925) — to jednak „Rok 1794“ został jego jedyną powieścią historyczną. Stało się to poniekąd i dlatego, że same dzieje współczesne miały w sobie znów zakrój bohaterski, którego uchwycenie w dziele pisanem było zadaniem nietylko literackiem, ale patrjotycznem.

Pierwszem z tych dzieł — w formie swej do pewnego stopnia przypominającem broszurę „Z konstytucyjnych dni“ — był pamiętnik „Z Ziemi Chełmskiej“ (1910). W książeczce tej, zawierającej to, co autor widział na własne oczy lub słyszał z ust wiarygodnych ludzi na Podlasiu, dwie wyróżniłbym, że się tak wyrażę, akcje: pierwszą z nich jest hołd składany upornym unitom, którzy mimo srogich prześladowań ze strony Rosji, trzymali się wiernie wiary katolickiej i polskości, drugą zaś jest aktualna podówczas — już po „tolerancji“ —sprawa wyodrębnienia Chełmszczyzny. Autor wiele tu przytoczył przykładów nieugiętości chłopa podlaskiego — że wspomnę tragiczne losy rodziny Koniuszewskich, czy Apolonji Szuckiej, czy całej osady Hrudów.

„Byli i tacy, którzy za każdą mszę wysłuchaną, za każdą spowiedź, za ochrzczenie każdego dziecka, za wzięcie ślubu, za polski pacierz i za polską książkę brali kije, płacili kary i całe miesiące przesiedzieli w więzieniach.

„A jednak przetrwali! Cisi, prości, spokojni, wierni, a niezłomni i niezwyciężeni. Skała, o którą przez czterdzieści lat biły całe huragany piorunów i nie zmogły, przetrzyma wyodrębnienie Chełmszczyzny i nowe prześladowania, przetrzma wszystko i wszystkich.“

Jeszcze raz — w dwanaście lat później — powrócił Reymont do dziejów ziemi chełmskiej w noweli „Osądzona“, tym razem łącząc te dzieje z wypadkami r. 1905. Bohaterka tytułowa, Jaszczukowa, podkreśla stale swą polskość i przynależność do narodu polskiego i to ją głównie odstręcza od renegata—Jarząbka. Polskość w niej głównie podtrzymują książki polskie, wśród których wyróżnia się — tak przez samego Reymonta ukochana — Sienkiewiczowska „Trylogja“. Taką strawą duchową i pokrzepieniem polskości było też i pismo „Zorza“, którego komplet znalazł Reymont (jak sam mówi w „Ziemi Chełmskiej“) w chacie wieśniaka podlaskiego.

Drugiem dziełem, uwieczniającem opór chłopa polskiego wobec zaborcy, jest zbiorek nowel zatytułowanych „Za frontem“[1]). Powstawały te nowele w czasie wojny światowej i przedstawiają kilka etapów nastrojów ówczesnych. W noweli pod charakterystycznym tytułem „Na Niemca!“ widzimy jeszcze u chłopów brak uświadomienia narodowego, rekruci idą wprawdzie na wroga —nie z ochotą, ale bądź co bądź nadrabiając minami — ale nie wszyscy wiedzą, poco idą i dlaczego; niewielu jest takich, co rozumieją, że Prusak jest ciemiężcą i wywłaszczycielem; większość idzie tylko dlatego, że przysięgała — „każą bić, to będziemy prali“. W stosunku do Rosjan chłop jest zrazu usposobiony raczej przyjaźnie, nazywa ich nawet „nasi“, dopóki tego sposobu pojmowania sprawy nie wybije im z głowy nahajka. W Niemcu też dopiero wtedy uznają wroga, gdy na własnej skórze odczują jego brutalność: rakwizycje, grabież, znęcanie się bestjalskie nad kobietami i dziećmi. Jak „Z Ziemi Chełmskiej“ było dokumentem, na świat cały świadczącym o tyranji moskiewskiej, tak dokumentem tyranji niemieckiej będą po wiek wieków „Echa“ i „Skazaniec 437“. W obu tych opowieściach widzimy i odruchy przeciw tej tyranji; zwłaszcza Adam Brudz niewzruszony wobec śmierci, gdy już pomścił swą krzywdę, to typowy chłop — bohater. O innem bohaterstwie— orce wśród kul — wspomniałem powyżej.

Dn. 10 października 1918 roku — na miesiąc przed klęską Niemiec — takie o nich proroctwo włożył Reymont w usta obłąkanej Skowronowej („Za frontem“):

„Dzień sądu nadchodzi! Kto winien, będzie pokarany!... A sprawiedliwość straszna będzie dla ciemiężycieli! I ni jedna człowiecza krzywda nie pozostanie bez pokarania! Ni jedna!“

Sprawiedliwość tę widział Reymont w rychłem zwycięstwie koalicji, której — jakeśmy wspomnieli — był szczerym stronnikiem przez całą wojnę.

Książka ta jest z tego względu jeszcze ważna, że w niej znów podkreśla Reymont słowa: „Nie zginęła!“ Wypowiada je w przepięknej alegorji wstępnej, zatytułowanej „Pęknięty dzwon“. Pisząc kiedyś o tym utworze, nazwałem go nowemi „Księgami narodu polskiego“; jest to bowiem niejako streszczenie całej historjozofji Reymonta, dotyczącej dziejów Polski — historjozofji, mającej korzenie w dawnym „Głosie“. Polska usymbolizowana jest tu w dzwonie, który „złe przemagał świętym dźwiękiem, duszą był żywą narodu, modlitwą jego, żywota nieśmiertelnym głosem“. Tego „dzwonu, swej duszy, bronili mocą rozpaczy“ mieszkańcy kraju, niegdyś potężnego, za-

[1]) W drugiem wydaniu noszą one tytył „Pęknięty dzwon“.

lanego hordami najeźdźców. Ale tej nawale nie podołali siłą fizyczną, orężną. „Święty dzwon zamilkł, wydarto mu serce, rozbito". I oto charakterystyka pewnych grup politycznych czasu niewoli:

„Rycerzów syny odrodne przed wrogiem biły pokłony. Za ochłap życia strój obcy wzięli i wiarę, nowym się panom stali opoką, lud w uległości ćwiczyli. Brzęk złota pieśnią stał się nowego żywota. Jarmarcznym swarem karmiły się rzesze. Mędrce cielątek pisali herbarze, Bogiem głosili zyski plugawe, miasto ołtarzów kramy wznosili. Uczeni w piśmie nad rozkopaną mogiłą zasiedli, a jadem grobów zatruci, mówili: umarła! — opluwali trupa, królewskie szaty zeń zwlekli, nożem rozumów i pychy krajali. Nawet imienia się zrzekli, nawet już pieśni o zmarłej wzbraniali: umarła na wieki! — uczyli"

Surowy sąd wydał tu Reymont na serwilistów, na oportunistów politycznych, na pewne szkoły historyczne[2]), ale i na jarmarczny swar rzesz, na materjalizm pewnych prądów popowstaniowych.

I oto odpowiedź:

„O, nie umarła! W sercach maluczkich tailła żywot swój wieczny... Pokoleń łańcuch niósł ją pokoleniom. Głosiły o niej puszcz dzikich ostępy, zapadłe groby, nieczytelne runy. Śpiewała ziemia, okuta w niewolę... Wichry wiosenne wieść o niej nosiły. Stygmaty kładła na czoła wybrane. I żyła wielka, nieśmiertelna, święta!"

A gdy zakrzyczał siwy orzeł (symbol tradycji narodowej) — wtedy przyszło obudzenie:

„Cały się naród uwiesił dzwonu. Cały się zwarł przy tym znaku. Cały się naród przemienił w ciosy."

Trzykrotnie — anafonicznie — z naciskiem — powtarza tu Reymont słowo: cały. Ta pobudka bojowa, ta zachętą do zjednoczenia całego narodu, powstała w r. 1914, a więc w czasie, gdy niektórzy politycy wyrzekali się praw Polski do pewnych dzielnic jej prastarych. Reymont ani na chwilę nie zapominał, że na sztandarach kościuszkowskich wypisana była nietylko wolność ale i całość.

Widzieliśmy, że był Reymont podczas wojny przeciwnikiem orjentacji austro-niemieckiej. Z polityków, którzy później mieli być jej rzecznikami, natrząsał się dobrodusznie w r. 1901 na kartach rzekomego „Pamiętnika" młodocianej wojażerki, natomiast tuż po wojnie napiętnował ich surowo w noweli p. t. „Księżniczka". Akcja tej noweli umiejscowiona jest w Ameryce, jeszcze przed przystąpieniem tego państwa do koalicji. O emisarjuszu wspomnianych sfer politycznych tak się — w chwili szczerościwy — raża jedna z osób powieści, *notabene* hołdująca tejże orjentacji: „Nadęty pyskacz, ale przyjeżdża jako mąż zaufania krakowskiego Enkaenu, figura". Głosi on: „Nasza przyszłość jest związana z mocarstwami centralnemi! Z Niemcami iść musimy! Zresztą oni wygrają wojnę!" Ale nie dość tego sojuszu, oto dalsze marzenia: „Towarzysze mają do pomocy legjony, zaufanie okupantów, ciemnotę chłopstwa i bierność burżuazji. W parę dni z endecji nie pozostanie innego śladu, prócz kup potrzaskanych gnatów". Odsłania się zatem istotny cel owych „polityków": nie o wyzwolenie ojczyzny im chodzi, nie o dobro narodu polskiego, ale o obalenie nienawistnego im stronnictwa... Zwykła ordynarna mściwość i zawiść, nie cofająca się przed najohydniejszemi metodami. Ów emisarjusz („większa świnia, niż przypuszczasz, ale do takich należy jutro" mówi jego przyjaciel, z tego samego obozu) z chlubą opowiada „różne szczegóły swego politycznego życia, tysiączne matactwa, konszachty z okupantami, podstępne targi, fałszywe umizgi do Wiednia i Berlina; podstawianie nogi przeciwnikom na każdy sposób, choćby nawet denuncjacją i pakowanie ich do więzeń, a wszystko pod hasłami dobra ludu i Polski. Była to hazardowa gra politycznego spekulanta, budującego swoją karjerę kosztem ludu i Ojczyzny". Cytuję dosłownie Reymonta.

„Księżniczka" jest otwartym pojedynkiem nietylko z orjentacją niemiecką, ale i z socjalizmem, który z tą orjentacją chodził w parze. Wspominaliśmy, że już przedtem Reymont sprzeciwiał się ideom socjalistycznym, choć miał jeszcze niejaką wyrozumiałość dla tych, którzy ideę socjalizmu łączyli z dążnościami niepodległościowemi polskiemi. Ale po r. 1905 rozwiały się jego iluzje, to też w powieści „Osądzona" (1923), osnutej na stosunkach porewolucyjnych, tak się wyraża: „Socjalizm to trumna za wielka dla dzieci, a za mała dla dorosłych, ale w sam raz dla zgnicia człowieka". Ostatek iluzji rozwiały wspomniane „matactwa" polityczne socjalistów podczas wojny. „Pacyfizm" ich uznał Reymont za dziecinny, a w ich postępowaniu widzi „rosnące ambicje władzy i przodowania, krzykliwą demagogję, puste frazesy, brak skrupułów, kłamstwo". „Nie rozumiem, jak człowiek rozumny i uczciwy może być socjalistą" — mówi Amerykanin Jack, wyraziciel poglądów samego Reymonta, a zarazem budziciel świadomości narodowo-patrjotycznej w duszy młodej Polki - socjalistki, przezwanej „Księżniczką". Jej przeobrażenie duchowe jest treścią i tendencją całego utworu. Księżniczka zrazu zwalcza „partjotyczno — militarystyczną hecę", za jaką uważa formowanie oddziałów polskich po stronie koalicji, ale później, pod wrażeniem wieści z kraju „budzi się i w niej Polak i człowiek". „Czy to uczciwie wydrwiwać i opluwać szczery patrjotyzm i taką ofiarność?—przemówiło sumienie"... „Księżniczka" zaczyna „marzyć o Ojczyźnie, o walce z nią i o życiu dla niej". Wzrusza ją widok wojska polskiego, wzrusza pieśń: „Jeszcze Polska nie zginęła"—ta pieśń tułacza, ta pieśń nadziei i wiary nieśmiertelnej". „Jakże tu nie oszaleć— toć prawdziwe wojsko polskie maszeruje! Znowu jak kiedyś pierwsi pójdą na wyłom, gdzie walka o wolność". Ponieważ „za ojczyznę trzeba płacić żywą krwią", więc odjeżdżając do Francji, jako siostra Czerwonego Krzyża, „księżniczka" mówi do męża:

„— Wstąpisz do wojska! Pojedziesz walczyć za Polskę! Zapisz się zaraz! Idź na wojnę! Służba ojczyźnie i krew za nią maże wszelkie winy"!

Warto wspomnieć, że Reymont, który z takim zapałem popierał ideę tworzenia wojska polskiego we Francji, sam się też do wojska tego zapisał jako ochotnik i tylko choroba nie pozwoliła mu na odbywanie służby wojskowej.

W „Księżniczce" socjalista Topór roi o rewolucji światowej: „Rosja da sygnał, zapłonie od krańca do krańca!" Ten majak rewolucji rosyjskiej był dla Reymonta snać ciągłą udręką, skoro wielki pisarz poświęcił mu całą powieść alegoryczną p. t. „Bunt". Jest to jeno bajka, ale mająca dziś znaczenie podobne, jakie miał apolog Menenjusza Agrypy w czasie secesji plebejuszów. Morał powieści—owo bezhołowie zwierząt, wywiedzionych z zagrody ludzkiej — kryje w sobie głęboką ironję: zwierzęta kłaniają się małpie. Istotnie snobizm rewolucyjny bywa często tylko—małpowaniem.

Przed samą śmiercią pisał Reymont do red. Wasilewskiego: „Zaczęliśmy razem i kończymy razem.

---

[2]) Podobny w tem do Wyspiańskiego („Kazimierz Wielki").

I czy nie na tem zamykamy koło, czem rozpoczynaliśmy?" („Myśl Narod." nr. 11 z r. 1925). Słuszne to słowa. Twórczość Reymonta zatoczyła krąg równy i pełny, którego promieniem była zawsze łączność ideowa z pierwotnem ogniskiem, a ogniskiem tem była ideologja „Głosu". A płaszczyzną tego koła była zawsze wierna służba narodowi polskiemu.

I gdyby mnie zapytano, jaki napis wyryć na grobie Reymonta, powiedziałbym bez wahania „Nie zginął!"

To były jego umiłowane słowa, tylekroć przezeń powtarzane. One były jego wiarą, jego ufnością, jego umiłowaniem i dążeniem. A że Polska nie zginęła, jest w tem także i Reymonta zasługa. Póki istnieć będzie Polska — żywotna i silna i taka, jaką Reymont wymarzył—póty i o twórczości Reymonta będzie można powiedzieć: „Nie zginęła".

JÓZEF BIRKENMAJER

LISTY KASPROWICZA

W DRUGĄ rocznicę śmierci Jana Kasprowicza przeglądam jego listy, których jeszcze nie ogłosiłem, i widzę, że najlepszym sposobem przypomnienia wielkiego poety będzie, gdy wydrukuję ich kilka. Przemówi do nas swoim głosem, a przytem będzie to bardzo poważny przyczynek do dziejów jego życia i pracy.

Ostatni list Kasprowicza, który ogłosiłem niegdyś w „Słowie Polskiem", a potem w książce „Wspomnienia o Janie Kasprowiczu i Stefanie Żeromskim", był z Poronina, pisany 27 listopada 1906. Pisał w nim do mnie, jako redaktora „Słowa Polskiego", abym mu na rachunek honorarjów polecił przysłać 400 kor. Znajduję teraz list z datą 17 grudnia, ale bez roku. Jestem pewien, że pisany z Poronina tegoż 1906 r.

I

17.XII (druga godzina w nocy)

Kochany!

Dziękuję Ci za załatwienie interesów. Posyłam wiersz, ale czy się nada? Zmęczony jestem, dla tego tylko kilka słów — jutro lub pojutrze obszerniej.

Ściskam Cię i wesołych świąt życzę

Jan Kasprowicz

Musiałem prosić Kasprowicza o wiersz do numeru gwiazdkowego; przynaglony terminem, pisał go do 2-ej w nocy. Przypuszczam, że był to wiersz p. t. „Z opłatkiem", ogłoszony w „Słowie Polskiem" 24 grudnia 1906 r., nr. 585.

Kasprowicz pisał wtedy wiele do „Słowa Polskiego". W r. 1906 ogłosił tutaj poemat „Sawitri" (w styczniu), „Ciche, samotne rzędy wierzb" 28 lipca, „Fragment" 4 sierpnia, „Stary czarny krzyż", „Dzień Matki Boskiej Anielskiej", „Procesja" i „Miłości pełne niech będą twe usta" — wszystkie cztery 11 sierpnia, „Siądź na kamieniu", „Wieczór", „Pożegnanie" i „Rada" 18 sierpnia. Był to świeży cykl liryk zatytułowany „Z nowych poezyj". Do tego cyklu należał też poemat „Ballada o słoneczniku", ogłoszony w „Słowie Pol." 24 listopada, a potem „Drogi krzyżowe" ogłoszony 1 grudnia. Była o nich mowa w poprzednich listach.

Wszystkie te poezje weszły do tomu poezyj, który wyszedł w r. 1907 z datą 1908 p. t. „Ballada o słoneczniku" nakładem Tow. Wydawniczego.

Dla orjentacji dodaję, że w paźdz. 1906 ukazało się drugie wydanie „Krzaka dzikiej róży" znacznie powiększone. W kwietniu zaś 1906 r. wyszła książka „O bohaterskim koniu i walącym się domu". Antologja angielska, o której niżej wspomina Kasprowicz, ukazała się w r. 1907 we Lwowie p. t. „Poeci angielscy. Wybór poezji".

Widzimy z tego wykazu, że lata 1906—1907 należały w życiu Kasprowicza do najwydajniejszych i o tem będzie w listach poniższych mowa. Dobrze się stało, że porzucił dziennikarstwo i że przeniósł się do Poronina, ulokowawszy dzieci w Krakowie u krewnej Czermakowej. Myśl o zdobyciu katedry zniewalała go do studjów nad poetami obcymi, a te studja kończyły się tem, że poezje przekładał. Wtedy je poznawał. Przekłady te weszły do owej antologji, niektóre do nowego wydania „Krzaka dzikiej róży", inne do „Ballady o słoneczniku". Żeby nie wracać potem do wyjaśnień w sprawie przekładów, dodam tutaj, że Tow. Wydawnicze we Lwowie wydało przekłady Kasprowicza w kilku edycjach, które potem w r. 1912 zbroszurowało w dwa tomy pod ogólnym tytułem: „Arcydzieła europejskiej poezji dramatycznej w przekładzie Jana Kasprowicza". W tomie I znalazł się wzmiankowany tutaj w listach „*Oedipus tyrannus*" Shelley'a, w t. II Shelley'a „Rodzina Cencich" oraz Swineburne'a „Atalanta w Kalydonie".

Oto dalsze listy już z r. 1907.

II

Poronin, 7 stycznia 1907.

Mój Drogi Zygmuncie!

Piszę do Ciebie z wielką prośbą. Kiedyś zobowiązałem się napisać dla Macierzy powiastkę dla ludu i wziąłem à conto 500 koron. Z powiastki, mimo szarpaniny, wybrnąć nie mogę, choć straciłem na to bardzo dużo czasu. Idzie o to, czy administracja nie zwróciłaby tej kwoty „Macierzy" na ręce dr. Konst. Wojciechowskiego. Odrobię wam to w przeciągu miesiąca stycznia i lutego rzeczami oryginalnemi (z tego sporo prozy, nad którą obecnie pracuję). Widzę i dowiaduję się, że rzeczy drukowane w „Słowie" przedrukowuje Gazeta Polska, Myśl (o Balladzie o słoneczniku i Drogach Krzyżowych pisał mi z wyrzutem Przesmycki, że mu ich nie dałem — czytał je w pismach warszawskich), prócz tego hr. St. Żółtowski pokazywał mi kiedyś dodatek do Kurjera Pozn. z Drogami Krzyżowemi z wykropkowaną jedną zwrotką. Wynika z tego, że według umowy z tamtemi pismami, „Słowa" ja zbyt wiele znowu nie kosztuję. Przypuszczam, że gdyby Administracja nie mogła odrazu, to prof. Wojciechowski zgodzi się na jakieś dwie raty.

Gdybyś jednak tego uczynić nie mógł, proszę Cię bardzo, donieś mi odwrotnie, będę musiał radzić sobie inaczej, a sprawa bardzo pilna i dla mnie odwleczenie ogromnie byłoby przykre. Byłbym Ci wdzięczny, gdybyś mi zatelegrafował, bo jestem w niepokoju — codzień spodziewam

się listu od Macierzy, a to podcina mi równowagę, denerwuje i odbiera chęć do pracy.

Zdaje mi się, że nic wam nie jestem winien, każ przygotować rachunek.

Jeżeli się zgodzi Administr., to już w tych dniach (za jaki tydzień) przyślę Ci przyzwoitą rzecz.

Wypadek z Wróblewskim jest straszny.

Twój

Jan

Widziałem się tu z Jankiem Popławskim, nie bardzo zachwycony Warszawą.

Parę słów wyjaśnień. We Lwowie pracowała z pożytkiem zasłużona dobrze sprawie oświaty Macierz Polska, fundacja utworzona w r. 1882 przez J. I. Kraszewskiego. Kierownikiem Bibljoteki Macierzy Polskiej był wówczas dyrektor gimn., później prof. uniw. śp. Konstanty Wojciechowski. Stosownie do życzenia Kasprowicza widziałem się z Wojciechowskim i podsunąłem mu myśl, czy nie dałoby się za ową zaliczkę 500 kor. na powiastkę, której Kasprowicz jak widać, nie napisze, nabyć od poety wybór poezyj. Wojciechowski chętnie na to przystał. Wydał ten wybór (dokonany według wskazówek poety) z portretem autora i swoją przedmową jako tom 56 Bibljoteki Macierzy, ale dopiero w r. 1910.

Wzmianka o Wróblewskim na końcu listu dotyczy tragicznej śmierci Kazimierza Wróblewskiego, członka redakcji „Słowa Polskiego“ i jego żony Jadwigi z Sichulskich (siostry malarza). Pojechali na święta do krewnych w Radymnie i tam w drugie święto oboje, wskutek źle zamkniętego pieca, zaczadzieli od gazu węglowego. Wróblewski wieczorem późnym pracował nad odczytem o Orzeszkowej. Obudził go nad ranem jęk żony, ale sam padł, idąc ją ratować. Zmarł w kilka godzin po niej. Ciężka to była żałoba.

III

Poronin, 21 stycznia 1907.

Drogi Zygmuncie!

Serdecznie, bardzo serdecznie dziękuję Ci za załatwienie — tak dla mnie korzystne — sprawy z Macierzą. Wydawcy—Tow. Wydawn.— nie mogą nic mieć przeciw takiemu zbiorkowi (oczywiście niewielkiemu), gdyż to im wcale nie zaszkodzi, przeciwnie — zresztą nawet według ustawy austrjackiej wolno przedrukować 2 arkusze druku. A tutaj możnaby wziąść coś z tomika I (Mrówki), coś z Chłopskiego zagonu (może Jewkę Orliczkę), w Anima lachrymans są opowiadania chłopskie, jaki urywek z Napierskiego. Jeżeliś łaskaw tem się zająć, będę Ci bardzo zobowiązany i dam Ci coś do Słowa (oczywiście gratis).

Co do drukowania mych rzeczy w Słowie, to się niczem nie krępuj. Ja rozumiem, że wam samym za drogo, a z innymi pismami macie trudności — tak się zawsze wychodzi na kartelach. — Chciałeś, abym wam dawał pierwszeństwo, więc to zrobiłem. Rozumiem też, że może rzeczy nie nadają się dla przeważnej części czytelników „Słowa“, potrzebujących strawy lekkiej. Zresztą ideałem moim dojść do takiego stanu, aby wydawać tylko w książce, nic w pismach. Może mi to się z czasem uda. — Nie masz pojęcia, jak marnie z odległości tych kilku miesięcy, spędzonych poza Lwowem, wygląda wasz gród stołeczny. Tak serdeczny mam do niego wstręt, że nie wróciłbym za nic w świecie. Żal mi Cię naprawdę, że Ty z swoim umysłem i sercem, musisz siedzieć w tem barbarzyńskiem, niekulturalnem gnieździe.

Możebyś wpadł kiedy do Poronina — mam drugie łóżko, kolej Cię nic nie kosztuje — odetchniesz.

Ja tu haruję tak, że przechodzi ludzkie pojęcie, a mimo to mam zawsze jeszcze chęć do dalszej roboty. — Wyszła Antologja poetów angielskich. Bardzo Ci tę książkę polecam—może Naganowski *) napisze jaką porządną recenzję. Włożyłem w przekłady te dużo pracy i zamiłowania.

Serdecznie Cię ściskam

Twój **Jan Kasp.**

Był tu wczoraj (w Zakopanem) wieczór dla Orzeszkowej, ale ja od współudziału mężnie się wykręciłem.

Do listu powyższego pierwsza uwaga. Nie chciałbym, żeby Lwów brał głęboko do serca to, co o nim pisał Kasprowicz. Poeci mają swoje powody zniechęcania się do środowiska, których jednak nie trzeba brać za sąd o rzeczy ustalony. Coś mu dokuczyło. Była to reakcja uczuciowa i przelotna. W gruncie rzeczy do Lwowa był przywiązany.

Co do certowania się o druk w „Słowie“ jego prac, zdaje się była mowa o przekładach, których dziennik nie mógł dźwignąć. Mieliśmy według projektu podanego przezemnie opłacać Kasprowicza do spółki, jednocześnie drukując:„ Słowo Polskie“, „Gazeta Polska“ i tygodnik „Myśl Polska“ (Z. Balicki) w Warszawie. Trudno jednak było to skombinować. Stosunkowo najwięcej miejsca literaturze poświęcało „Słowo Polskie“. Poznań z poezją miał zawsze stosunki chłodne, tygodnik z dziennikiem nie mógł drukować jednocześnie itd.

IV

Poronin 24 marca 1907.

Drogi Zygmuncie!

Nie byłeś łaskaw odpisać mi na mój list ostatni — Tłumaczę to sobie wielkiem zapewne zajęciem etc. Nie wiem, czyś był łaskaw ułożyć tomik — chciałbym mieć jakieś wiadomości, bo trzeba mi koniecznie sprawę z Macierzą uregulować. Ja im powiastkę swoją drogą napiszę, ale nie umiem nic robić pod naporem obowiązku.

Mam też do Ciebie prośbę: Ja muszę wyjechać w świat. Poronin z swoją nieustającą zimą już mi zaczyna trochę dolegać. Robota mi nie idzie tak, jak powinna, trzeba zmienić na kilka przynajmniej tygodni miejsce pobytu. Otóż czy „Słowo“ nie dałoby mi biletu kolejowego Zakopane — Pontebba — Pontafel tam i z powrotem (beliebige Route). W zamian zato dałbym wam z p e w n o ś c i ą fejleton z podróży lub coś podobnego. Zależy mi bardzo na odwrotnej odpowiedzi, gdyż musiałbym sobie jakoś poradzić inaczej, a wiele czasu nie mam, chciałbym bowiem już w pierwszych dniach kwietnia wyjechać.

*) Edmund Naganowski po powrocie z Anglji osiadł we Lwowie i był członkiem redakcji „Słowa Polskiego“, referentem spraw angielskich.

Prócz tego, gdybyś się zdecydował na to, prosiłbym Cię także o wystawienie mi legitymacji, że jestem współpracownikiem Słowa. Nadużywać tego nie będę — ale możebym dostał jakiś łatwiejszy dostęp do bibljotek i muzeów. Serdecznie Cię ściskam

Twój **Jan Kasp.**

Dlaczegoś nie dał dotychczas ani wzmianki o Antologji angielskiej?

Żebyś był tak dobry i posłał chłopca do Banku hipot., aby się dowiedział, kiedy płatny jest mój weksel z Tobą i Hłaską i donieś mi, gdzie Hłasko siedzi, bobym weksel mu posłał do podpisu — i na jaką kwotę.

V

Poronin 28 marca 1907.

Mój drogi!

Napróżno czekam na bilet — a chciałbym się jaknajprędzej wyrwać — czuję, że robota mi już nie idzie, a myślę, że w Rzymie przyjdę znowu do siebie i coś napiszę. Właściwie jestem przepracowany: w tem półroku, od września, napisałem trzyaktowy dramat muzyczny, masę liryki, które idą w tomie, mającym się niebawem pokazać, przetłumaczyłem masę rzeczy do Antologji poetów angielskich, przetłumaczyłem dramat Swinburne'a Atalanta z Kalydonie, dramat Shelley'a Oedippus tyranus, Browninga Na balkonie, przerobiłem Cencich, przetłumaczyłem duży poemat Swinburne'a Laus Veneris, skończyłem Narodziny Marchołta (te dwie rzeczy były w Chimerze) etc. etc. Jak widzisz, nie próżnowałem (były dnie i miesiące, gdzie siedziałem po 14 godzin dziennie) — a to wszystko ledwie wystarczy na opędzenie najgwałtowniejszych potrzeb, wychowanie dzieci — sam chodzę niemal bez portek. Mam wiele pomysłów, które dojrzeją za granicami Polski, gdzie mnie wszystko w nielitościwy sposób morduje. Chcę uciec, bo muszę się ratować.

Posyłam Ci weksel. Według moich obliczeń coś mi się należy z administracji, ale widzę, że trudno Ci ściągnąć od Myśli Polskiej i Kurjera Pozn., który, jak wiem, przedrukowuje także (widziałem u pp. Żółtowskich przedruk „Krzyżowych dróg"). Gdyby jednak rachunki moje były błędne, niech Administracja wyłoży jakąś drobną kwotę — ja Ci z Rzymu napiszę kilka fejletonów i tem się pokryje — oczywiście za honorarjum, które uznasz za stosowne — oczywiście bez prawa przedruku w innych pismach, boć darmo im dawać nie można.

Jeżeli bilet jeszcze nie wysłany, a dostać go można, proszę Cię bardzo, poślij go już do Krakowa, Studencka 2 (u p. Czermakowej) — chcę kilka dni spędzić z dziećmi.

Na fejletony licz napewno. Gdyby nie powikłania z innemi pismami, byłbym Ci był już nieraz coś przysłał, choć zresztą nie miałem w ostatnich czasach nic szczególnego.

Wesołych Świąt Tobie i Twoim życzę i serdecznie Cię ściskam

Twój **Jan**

Stało się po myśli Kasprowicza. Wyjechał, parę miesięcy go nie było w kraju. Wtedy w podróży po Włoszech poznał się z późniejszą swoją żoną. Należał mu się ten wypoczynek po pracy, która istotnie zdumiewa swym ogromem. List jego z 28 marca jest bardzo cenny dla historyka. Ów „trzyaktowy dramat muzyczny", o którym tam wspomina, to przepiękna a mało znana „Sita — indyjski hymn miłości w 3 odsłonach", wydana w Poznaniu 1917.

W liście z 24 marca Kasprowicz obiecywał, że da „z pewnością" fejleton z podróży, przyczem wyraz ten dwa razy podkreślił, ale nie doszło do tego. Wrażenia z Włoch były zbyt poufne. Znalazły one później swój wyraz w zbiorze „Chwile" (1911), gdzie poezja układa się w formę listów miłosnych.

ZYGMUNT WASILEWSKI

A. RIMBAUD

Z „ILLUMINATIONS"

WONEJ porze sadzawka Pięciu Krużganków była przybytkiem zgryzoty. Zdawało się, że to jakaś pralnia ponura, wiecznie w deszczu moknąca, czarna; gdy zaś na schodach wewnętrznych, — pobladłe od błyskawic, dających przedsmak ognia piekielnego, — żebractwo pomstowało, ochota brała kpić ze ślepych oczu niebieskich oraz z białych i sinych płócien na kikutach. O, ścieki koszar, o, łaźnie ludowe! Woda wciąż była czarna i żaden z kaleków nie pogrążał się w niej, chociaż tylko we śnie.

Tam spełnił Jezus swój pierwszy ważny czyn. Wśród hańby i nędzy. Było to w lutym, w marcu, czy też w kwietniu; słońce od drugiej po południu rzucało wielką, jasną kosę na wodę, pogrzebioną w cieniu; odemnie zaś, jako żem stał opodal za plecami kalek, widać było ile zielska, lśnień szklistych i robactwa wodnego wykrył ów skośny promień, podobny aniołowi jasnemu, leżącemu bokiem na wierzchu kąpieliska i wprawiającemu w drżenie wszystko, cokolwiek tam się blado odbijało.

Zaiste, woda śmierci. Grzechy, dzieci czarta, lotne i natarczywe, które conieco przeczulonym sercom uczyniły tych bliźnich przeraźliwszymi, niż poczwary, — chciały wskoczyć do wody. Kalecy pełzli do niej już bez drwin, z ochotą.

Było powiedziane:

„Doznają uzdrowienia, którzy się pierwsi zanurzą". Nie. Grzechy parły każdego nazad i odpędzały precz, bowiem czart mógł przebywać tylko tam, gdzie napewno dawano jałmużnę.

Pan Jezus przyszedł zaraz po południu. Nikt nie prał szmat, ani nie pławił bydła. Ów promień na sadzawce był żółty, jak ostatnie liście winogradu.

Boski Mistrz stanął pod kolumną; patrzył na synów grzechu. A czart z ich ust wywalał język ku niemu i śmiał się.

Człowiek, dotknięty paraliżem, wstał, — a leżał był na boku, — i ruszył ku wyjściu; a dziwnie mocno trzymał się na nogach, gdy go widziano, jak biegł krużgankami, nim zniknął w mieście Potępionych.

Przełożył STANISŁAW MIŁASZEWSKI

LIBERUM VETO

Najlepsza Konstytucja

JESTEŚMY narodem wielomównym, potrzebującym w każdej sprawie zużyć sumę słów, nieproporcjonalnie wielką w stosunku do wykonanych w niej czynów. Byliśmy zawsze tacy i rzadko przemawiał publicznie polak, któryby nie sięgnął do stworzenia świata a conajmniej do mitologji i dziejów grecko-rzymskich. Długa niewola, która osłabiła w nas energję czynną, jeszcze bardziej spotęgowała energję słowną. Zbierzcie 50 obywateli dla uchwalenia budowy jednego kilometra drogi lub czyszczenia zamulonej strugi, 49 zapisze się do głosu i każdy prawić będzie przez godzinę, a jeżeli inni mu pozwolą, odezwie się jeszcze kilkakrotnie. Nic też dziwnego, że zagadnienie tak trudne i złożone, jak zmiana Konstytucji otworzyło we wszystkich dziennikach nieustające dotąd wylewy gadaniny, rozbiegającej się w najrozmaitszych kierunkach i nie wpływającej do żadnego wspólnego zbiornika. Obecnie jest już kilkanaście projektów, oczywiście każdy najlepszy ze wszystkich i żaden nie dobry, bo dobrym bezwzględnie być nie może. O tem ich twórcy nie wiedzą lub nie pamiętają, chociaż w tej sprawie jest to punkt główny.

Jeżeli rozważymy konstytucje różnych państw, to łatwo dostrzeżemy, że one nawet w najpotężniejszych i najszczęśliwszych zawierają dużo wad, nielogiczności i śmieszności. Co więcej, stwierdzimy, że najsilniejsze mocarstwo, Anglja, nie posiada wcale spisanej konstytucji i opiera się przeważnie na zwyczajach. Najdemokratyczniejsze, najbogatsze, rozkazujące dziś całemu światu Stany Zjednoczone mają konstytucję, która obdarza prezydenta władzą niemal monarszą i otwiera szerokie pole nieznanym gdzieindziej nadużyciom i przekupstwom wyborczym. Według ostatnich doniesień zebrano na ten cel kilkanaście miljonów dolarów. Jak objaśnić te dziwne zjawiska? Dlaczego zła konstytucja nie przeszkadza żyć szczęśliwie, rozwijać się pomyślnie i wytwarzać olbrzymią siłę? Nad tem pytaniem nie zastanawiają się fabrykanci udoskonalonych statutów, podczas gdy przedewszystkiem na nie znaleźć trzeba odpowiedź. Poszukajmy jej.

Społeczeństwo jest podobne do piramidy zbudowanej z kamieni rozmaitej wielkości i kształtu, które ściśle dopasować się do siebie nie dadzą. Gdyby ta piramida składała się z brył równych lub przynajmniej ociosanych, możnaby je ułożyć łatwo według tej samej reguły. Im większa jest ta nierówność i różnokształtność, tem trudniejszy układ i rozmaitsze jego zasady. Czy jest możliwe wymyślenie takiego planu, któryby tym wszystkim kamieniom zapewniał jednakowe położenie?

Rozjaśnijmy tę sprawę innym przykładem. Holandja wyrabia rocznie 66 miljonów kilogramów masła, z których 36 milj. wywozi zagranicę i 110 milj. klg. sera, z których 75 milj. wysyła zagranicę. Dochód z tego źródła wynosi 663 mil. zł. Ponieważ jej obszar dosięga zaledwie przestrzeni jednego naszego województwa, Polska powinnaby wytwarzać i wywozić kilka razy więcej. Tymczasem jej produkcja stanowi małą część holenderskiej. Dlaczego? Rozwiązuje zagadkę korespondent „Tęczy.“ „Do takich rezultatów— pisze on — potrzebna kultura moralna. Bo nie robi się tego wszystkiego bez poczucia solidarności spółdzielczej, bez wielkiej uczciwości i odpowiedzialności za wspólny interes, bez oświaty, bez dobrych i mądrych ustaw, bez poszanowania prawa, bez udoskonalenia ludzkiej wytwórczości i wogóle bez wyższych potrzeb. Na takie masło i taki ser składają się wieki kultury... W stolicy Polski nie można za żadne pieniądze dostać śmietanki... W okolicach wielkich miast polskich niema ani jednej gospodyni wiejskiej, któraby niosąc mleko do miasta, nie dolała wody i wapna, nie dosypała sody“. Wyobraźmy sobie, że ktoś u nas podał znakomite sposoby przygotowania mleka, wyrobu sera i handlu temi produktami. Co z tego wyniknie? To samo, co jest obecnie.

Przeniósłszy te przykłady i wywody w dziedzinę prawa publicznego, otrzymamy taki wniosek: bezwzględnie doskonałej konstytucji nie ma i być nie może, w Polsce zaś względnie najlepsza będzie złą dopóty, dopóki naród i jego organy rządowe nie wejdą na wyższy poziom kultury. Przypomnijmy sobie, jak zachowywali się nasi posłowie w pierwszym sejmie i poniekąd w następnych. Bezwstydnie wyzyskiwali swoje mandaty dla korzyści osobistych, zdobywali majątki ziemskie, przedsiębiorstwa dochodowe, posady drogo płatne, zapomogi, koncesje, przywileje i t. d. Czy ich do tego pobudzała organizacja sejmu? Gdzieindziej dawałaby pole do najwyższych cnót obywatelskich i zasług publicznych. U nas otworzyła pole niecnotom i nadużyciom, bo do tego zdolni byli ludzie, którym powierzono jej wykonywanie i których ośmielono się nazwać gromadą „szujów“ i „nierządnic“. Przypomnijmy sobie dalej niezliczone bezprawia, gwałty, samowole, bezkarne przestępstwa, niedbalstwa, przeniewierstwa, krętactwa w życiu publicznem. Czy te występki zrodziła Konstytucja? Nie. Były one dziełem lichych i złych charakterów.

Jest zadaniem rozumnem i sprawiedliwem staranie, ażeby nadać państwu taki ustrój, któryby mu zapewniał możliwie najlepszą pomyślność, najszybszy rozwój i największą siłę. Ale to staranie pozostanie daremne, jeżeli równocześnie nie będą podjęte zabiegi o wychowanie społeczeństwa, podniesienie jego oświaty a nadewszystko uszlachetnienie moralne. W społeczestwie, którego niemal połowa składa się z analfabetów, a więcej niż połowa z nałogowych rabusiów cudzego mienia, które jest połamane na jednostkowe lub partyjne egoizmy, w którem prawo uważane jest nie jako obowiązek, który trzeba dobrowolnie spełnić, lecz jako dokuczliwy przymus, któremu należy się wymknąć — w takiem społeczeństwie najdoskonalsza teoretycznie konstytucja okaże się wadliwą.

Mamy na swoje usprawiedliwienie wiele okoliczności łagodzących. Półtorawiekowa niewola, która nas zubożała, ogłupiała i demoralizowała, która ustawę uczyniła środkiem wyzysku, ucisku, samowoli, męki i upodlenia, nie rozwinęła w nas zdolności i cnót potrzebnych do życia i działania w państwie niepodległem i samowładnem. Nasze przeto ciała ustawodawcze i rządzące były odbiciem natury całego narodu i stwierdziły przysłowie, według którego każdy naród ma taki rząd, na jaki zasługuje. Ale dziesięcioletnie doświadczenie, pouczające skutki naszych wad i błędów już powinny nas z nich wyleczyć i wskazać właściwe drogi postępowania. Niewątpliwie zrobiliśmy już wiele dobrego, więcej nawet niż dostrzec i usłyszeć można w tumanie i zgiełku walk partyjnych, które zasłaniają i zagłuszają pracę kulturalną. Tego jednak nie wystarcza ani dla pomyślności, ani dla bezpieczeństwa narodu. Chodzi więc o to, ażeby ogół przejął się świadomością i pragnieniem wewnętrznego odrodzenia, ażeby nie pogrążał się w biernej obojętności, ażeby swoją wolą wywierał energiczny i ciągły nacisk na

tych, którym powierzył swoje losy, ażeby jego przywódcy i kierownicy byli kochającemi dziećmi i uczciwymi sługami swojej wspólnej matki — Polski. Ta służba nie jest wcale obowiązkiem trudnym. Polacy są materjałem ludzkim bardzo cennym i bardzo plastycznym, podatnym do urobienia w formach najwyższej kultury. Trzeba tylko w tej robocie okazać mądrość, sztukę i miłość. Powtarzam — i miłość. Kto chce nad nim jedynie panować, zadawalać jego uległością swoje pretensje, upodobanie i żądzę władzy, kto go uważa za ciemny i znarowiony motłoch, kto rządzi rozkazem, nienawiścią, gwałtem i bezprawiem, ten go może sterroryzować, odurzyć, znikczemnić, ale go nie przetworzy, nie uzdrowi, nie uszczęśliwi, nie wydobędzie z niego mocy. W dotychczasowych rządach widzieliśmy niekiedy dobre chęci, ale przeważnie amatorstwo, dyletantyzm, sport i brak tej miłości, bez której nie można zdziałać nic wielkiego, bez której tak niepodobna dobrze rządzić, jak niepodobna odkryć na niebie nowej gwiazdy, wynaleźć nowej maszyny, lub namalować pięknego obrazu. Cavour, Deak, Mussolini — to nie tylko genjalni politycy, ale to kochankowie własnej ojczyzny, to twórcy dzieł, które umiłowali. Tacy obmyślą najlepszą konstytucję i wychowają znakomitych obywateli, którzy dzielnie zużytkują ich zalety, i osłabią ich wady. Nienawiść rodzi tylko walkę, walka tylko niszczy, a stwarza tylko miłość, kochająca nawet to, co budzi litość i smutek.

ALEKSANDER ŚWIĘTOCHOWSKI

GŁOSY

MASONERJA ODSŁONIONA

POKAZAŁO się dowodnie, że nasze życie publiczne płynie podwójnym prądem, stąd ciągłe zakłócenia nurtu. Wskazywaliśmy w tem miejscu od maja 1926 r., że kłamstwem, choćby najlepiej zorganizowanem, zajechać daleko nie można. Również podawać za prąd odrodzenia tego, co jest włamaniem się organizowanej międzynarodówki do stosunków wewnętrznych kraju. Nie wytrzymali wzroku prawdy sanatorzy i wyznali, że istotnie ruch ich poczyna się w lożach masońskich. Skoro organizacja tajna międzynarodowa objęła szeregi tych sfer, które z racji koleżeństwa broni brały udział w pogrzebie śp. Winiarza i do których mistrz loży Strug mógł publicznie, jako w grupie zaufanych, mówić o stracie, poniesionej przez masonerję, to łatwo sobie wyobrazić, że organizacja objęła wszystkie kręgi, boć ten powinien być ostatni, bodaj niedostępny dla tych robót.

Nie wiemy, jak daleko sięga loża Łukasińskiego w niziny, wiemy, jak jest mocna w górze. Dostateczne pojęcie o związku klubu Jedynki z działaniem wolnomyślicieli całego świata daje nam wystąpienie w parlamencie przeciwko religji w szkole. Rozumiemy teraz lepiej charakter walki bezwzględnej, jaka się toczy we wszystkich dziedzinach na tle personalnem, zarażając atmosferę duchem nietolerancji. Zorganizowana pod tą komendą, obejmującą całość życia, prasa sanacyjna zajęta jest wespół z detektywami śledzeniem ludzi z obozu narodowego i donosami w celu ich rugowania. Po tem można poznać istnienie tajnej organizacji, że przy niej następuje przewrót w pojęciach etycznych. To jest pierwsze zaburzenie w stosunkach. Ludzie, którzy normalnie żyjąc mogliby być uczciwymi, popisują się brakiem skrupułów etycznych, bo za to zyskują nagrodę w stosunkach organizacyjnych i rozgrzeszenie. Tem się tłumaczy psychologja zbrodni, solidarnie tajonej w sferach, objętych działaniem masonerji.

A działanie to ma swoich kilka płaszczyzn: 1) polityczną, 2) religijną, 3) społeczną, 4) kulturalną. Wszystkie te płaszczyzny przecinają się z sobą w każdym z wtajemniczonych i oczywiście w stosunkach, które są splecione. Słusznie sanacja pokrzykiwała od początku, że nastaje Nowy Duch. Istotnie ten duch objął wszystkie dziedziny, a ta zgodność komendy tajnej z rozlegającemi się hasłami pozwala zupełnie dokładnie określić nie tylko zakres działania międzynarodówki, ale i osoby tym ruchem kierujące.

Byłoby naiwnością mniemać, że kalendarze masońskie, z których teraz zaczerpnął informacji „Kurjer Warszawski“, wymienią kiedykolwiek więcej, niż przewodniczących i sekretarzy lóż. Nasłuchaliśmy się nazwiska (raczej pseudonimu) p. Struga, aż stał się śmieszny. Ale przecież to tylko widoma głowa, administrator loży. Nic nam też nie mówią nazwiska Bartoszkiewicza, ani Stempowskiego, który zawsze był cieniem Posnera. Ale jak się to dzieje, że liczne loże robią rzeczy zasadnicze na jedną komendę, dlaczego pomimo różnic organizacyjnych prowadzą wszystkie niemal robotę germanofilską i federacyjną w Polsce, dlaczego muszą głosować przeciwko religji i potrafią robić to na komendę, tego kalendarz nie powie.

Tajemnicą jest publiczną w całym kraju, kto stoi ponad mistrzami, że masoni wyższych stopni wtajemniczeń (a jest tych stopni 33) należą jednocześnie do kilku lóż, że ci rozprowadzają komendę, daną przez organizacje wyższe z zagranicy, że nasi krajowi masoni, w ręku niewiadomem będąc, odgrywają rolę śmieszną, jak p. Strug, albo bardzo żałosną, nie dającą się godzić z patrjotyzmem, nieraz z uczciwością.

Faktem jest, że to, co się dzieje tą drogą nie jest radosną twórczością polską, że wszystko to nie ma sankcji moralnej ze strony społeczeństwa, a za straty, jakie ono ponosi odpowiedzialni będą ujawnieni w spisku działacze.

SANACJA W LITERATURZE

PRZYTACZAMY nieraz w „Myśli Narodowej“ tyrady publicystów sanacyjnych, niesłychanie śmieszne w treści i formie, a robimy to nie dla zabawienia czytelników, lecz dla pokazania, jak strasznie mści się na pisarzach, gdy wejdą na drogę kłamstwa. Jest to droga ciężka i niewdzięczna. Pod osłoną siły fizycznej wiele można zdziałać złego, ale gorsza sprawa, gdy kłamstwo zetknie się z logiką, a życie swoją logiką trzyma w szachu literatów „kombinatorów“.

Ponieważ sanacja wciągnęła w fałszywą robotę cały swój obóz literacki, a ten uzależnia swym wpływem i korzyściami szersze kręgi w prasie i literaturze, więc spustoszenia w umysłowości są wielkie. Jeszcze parę lat tej roboty, a poziom umysłowy wśród inteligencji obniży się do nieznanej dotąd miary. Gdy literaci, sięgający po laur i fotele akademickie, biorą na siebie posługę w lożach i to pod komendą żydowską, gdy nie wstydzą się podpisywać bredni, uwłaczających powadze pisarza, wtedy nie można liczyć na rozwój ich talentów. Sztuka i wszelka twórczość opiera swój rozwój na dążeniu do prawdy, kłamstwo jest dla niej zabójcze.

Wyobraźmy sobie, jak wygląda dusza pisarza, który jednocześnie ma sobie powierzone propagowanie

dwu takich haseł: 1) uniwersalizmu, zacierającego narodowość, paneuropeizmu, powszechnej sztandardyzacji człowieka, aby się spełnił ideał ludzkości, jako jednej rodziny, a z drugiej strony 2) hasła regjonalizmu, bo to znowu potrzebne do pokruszenia bryły polskiej na kawałki, aby łatwiej było potem temi kawałkami operować.

Widzimy, co się dzieje w głowach młodych literatów i publicystów, gdy te dwie idee mają jednocześnie realizować: zacierać odrębności, a jednocześnie wydobywać odrębności. A potem krytycy z tego samego obozu nie mogą się nadziwić, że niema literatury i krytyki. We wszystkich dziedzinach myśli zapanowała podobna nieszczerość i nielogiczność. Opinja, nie orjentująca się w położeniu sanacji, oczekuje od niej programu konkretnego. A czyż ona może wiedzieć, co jej każą jutro robić?

Więc w zasadzie demokracja, wolność powszechna, ale jednocześnie propaguje się dyktaturę i pogwałcenie wolności. To są kombinatorstwa, ale wtedy niechże się nikt nie dziwi upadkowi charakterów i demoralizacji.

Na tem tle trzeba rozważać zagadnienia naszej literatury. Jest ona w ciężkiej opresji, bo uzależniła się od dyrektywy ludzi tandetnie myślących. Były przecież wpływy wolnomularskie i w czasach Mickiewicza, ale czy go kto uczył kłamać sobie? Jakżeby Mickiewicz zmieścił się ze swoją osobowością w systemie haseł, opartych na kłamstwie i sprzecznościach haseł, najwidoczniej zmierzających do wprowadzenia w błąd mas, do fałszowania dziejów?

ZMARLI

W OSTATNICH dniach dowiedzieliśmy się o śmierci trzech przyjaciół: Tadeusza Jasieńskiego, Adama Jasińskiego i Zygmunta Kostkiewicza.

Tadeusz Jasieński był lekarzem w Warszawie. Ceniony był i szanowany jako człowiek i lekarz, a przez tych, którzy go bliżej znali, kochany. Urodzony w r. 1864 w Siedleckiem w dziedzicznym majątku rodziców, kształcił się początkowo w Lublinie, ale stąd prześladowany przez polakożercę dyr. Sengalewicza, przeniósł się do Siedlec i tu ukończył gimnazjum w r. 1887. Po ukończeniu studjów lekarskich w uniw. warszawskim był asystentem słynnego dr. Dunina aż do jego śmierci. Był lekarzem kolonij letnich, ostatnio kolejowym. Praktykował stale w Warszawie. O powadze, jaką miał w świecie lekarskim, świadczy, że piastował urząd prezesa lekarskiego sądu koleżeńskiego.

Adam Jasiński również lekarz, zmarł w Krośnie, gdzie od wielu lat praktykował. Urodzony w Warszawie 1867, ukończył tutaj 3 gimnazjum, w r. 1894 za udział w manifestacji na cześć Kilińskiego aresztowany i skazany na zesłanie do Rosji, zdołał ujść do Galicji i tam dokończył medycynę ze stopniem doktora. Był we Lwowie asystentem prof. Becka przy katedrze fizjologji, stąd przyniósł się do Krosna na stanowisko lekarza powiatowego. Syn jego poległ w obronie Lwowa.

Zygmunta Kostkiewicza żywot mniej nam jest znany. Był księdzem w Trościańcu (pow. jaworowski) w Małopolsce. Zmarł w 68 roku życia. Skończył wydział prawny w Krakowie ze stopniem doktora, tutaj aplikował. Wtedy dał się bliżej poznać, jako gorący zwolennik „Głosu" i propagator idei wszechpolskiej. Stworzył koło siebie urokiem swojej duszy promienistej duże koło przyjaciół ideowych. Zbliżył się z nim w r. 1902 Żeromski. W listach jego z tych czasów (ogłoszonych przez Noyszewskiego) znajdziemy sympatyczne wzmianki o matce Kostkiewicza, z którą syn mieszkał. Kostkiewicz odgrywał wtedy wybitną rolę w wydawnictwie „Nowej Reformy", gdzie redaktorem był Asnyk, a sekretarzem Ernest Adam, wiele działał na polu oświatowem w T. S. L. Jakiś czas był sędzią w Czarnym Dunajcu, gdy nagle, idąc za głosem duszy, głęboko religijnej, wstąpił do seminarjum, aby wiązać służbę Bożą ze szczytnemi ideami patrjotycznemi.

Wszyscy ci trzej idealiści z jednego pokolenia stali u szczytu budowy społeczeństwa, którą wieńczy klasa inteligencji, rządząca narodem wewnętrznie. Rządy ideowe sprawują ci, mniej lub więcej głośni (bo nie o rozgłos chodzi), którzy w sobie kształcą moc idealizmu narodowego.

Tracimy w tych trzech wybitnych przedstawicielach ruchu narodowego, który doprowadził do odrodzenia Polski, tych, którzy odradzali etykę obywatelską i wiarę w naród. Bez tego typu pracowników ducha nie podołałby naród powołaniu swojemu.

OD WYDAWNICTWA

APEL DO CZYTELNIKÓW
PRZEMIANA NA TYGODNIK

Upraszamy sz. czytelników o dwie rzeczy:

1) o uporządkowanie rachunków swoich z „Myślą", bo są duże zaległości za lato, oraz o przysłanie odrazu należności za kwartał IV. Najlepiej za pośrednictwem PKO w Warszawie, konto „Myśli Narodowej" n-r 3105.

„Myśl Narodowa" utrzymuje się z prenumeraty, czytelnicy są wydawcami, zaległości psują równowagę budżetu i utrudniają rozwój pisma.

2) druga prośba dotyczy jednania nowych prenumeratorów. Uważając odbiorców pisma za wydawców, prosimy ich o tę przysługę w ich własnym interesie.

„Myśl Narodowa", jak zapowiadaliśmy, wraca do swej dawnej postaci TYGODNIKA. Zamiast sześciu zeszytów kwartalnie ukazywać się będzie 13. Znacznie to powiększy koszta nakładu i tylko przy solidarnem poparciu czytelników wydawnictwo będzie mogło zadaniu sprostać.

Tygodnik z natury rzeczy lepiej przystosowany będzie do zadań publicystycznych i przez to będzie popularniejszy dla szerszych kół. Rozszerzy zakres swoich zainteresowań, nie wyrzekając się dotychczasowych.

Warunki prenumeraty na r. 1929 ogłosimy w zeszycie następnym. Obecnie wzywamy do zapisywania się na kwartał czwarty r. b.

Prenumeratorzy z r. b. otrzymają od nowego roku tygodnik, nie doznając przerwy.

PRZEGLĄD POLITYCZNY

„Sanacyjna“ naprawa Konstytucji.— Krowa, co dużo ryczy, a mało mleka daje. — Podpisanie paktu Kelloga. — Przed Zgromadzeniem Ligi Narodów.

WYDAJE się, iż hasło „naprawy ustroju“ doniedawna tak hałaśliwie głoszone przez Bezpartyjny Blok Współpracy z Rządem, będzie mieć historję podobną, jak rzucone przed dwoma i pół laty hasło: „walki z nieprawością“. Odpowiadając w danej chwili psychice mas, przyniosło ono ogromne korzyści taktyczne grupie, która z niem wystąpiła, skoro zaś przyszło do wykonania...

Od szeregu tygodni rozpisywano się w prasie o „wielkich planach jedynki“ w sprawie zmiany Konstytucji, zapowiadano, iż mowa min. Piłsudskiego w Wilnie dnia 12.VIII b. r. stanie się przełomowem, historycznego znaczenia oświadczeniem w tej doniosłej sprawie. Jeszcze na kilka godzin przed przemówieniem uchwalona rezolucja zjazdu legjonistów, jako jedyne zagadnienie polityczne Polski współczesnej wysunęła konieczność „zmiany ustroju, która Państwu zapewni śpiżową moc“. Tymczasem w odczycie swym min. Piłsudski oświadczył na wstępie, iż nie zamierza poruszać tematów przykrych, następnie zaś opowiadał jedynie o swych wspomnieniach z lat wojny i o swojem przywiązaniu do Wilna. W kilka dni później w dzienniku „ABC“ można było czytać wiadomość, iż klub Bezpartyjnego Bloku „powziął obecnie nową koncepcję. Polegać ma ona na tem, aby zmian Konstytucji nie przeprowadzać forsownie, lecz... powoli... w miarę jak życie będzie wykazywało potrzebę zmian“. A czołowy organ „sanacji“ — dziennik „Głos Prawdy“, powiadomiony chyba, w jaki sposób urabiać ma nastroje swych czytelników, ogłosił ostatnio (nr. 234), na miejscu artykułu wstępnego, rozmowę z „człowiekiem ze wsi“, w której czytamy: „Obecnie potrzeba nam ludzi, którzy będą mówić nie o prawach, lecz którzy nauczą nas... co robić, aby krowa dała dziennie mleka nie 4 a 20 litrów“...

Ani słowem nie wspomniał też o sprawie naprawy ustroju P. Prezydent Rzplitej w przemówieniu swem, wygłoszonem dn. 28.VII r. b., z okazji uroczystości dożynkowych w Spale. W mowie Pana Prezydenta było między innemi zdanie: „Potrzeba... oprócz dużych wysiłków i trochę czasu, żeby się mogło ugruntować państwo dobrze i pięknie zorganizowane, w któremby panowała najwyższa praworządność“. W zdaniu powyższem dwie rzeczy zasługują na uwagę: 1) pochwała praworządności; 2) stwierdzenie, iż na to, aby w Polsce „panowała najwyższa praworządność“ potrzeba jeszcze „dużych wysiłków i trochę czasu“.

Dnia 27 sierpnia r. b., w sali zegarowej ministerstwa spraw zagranicznych w Paryżu przedstawiciele Stanów Zjednoczonych Ameryki Półn., Belgji, Czechosłowacji, Francji, Japonji, Polski, Włoch, oraz Anglji i dominjonów brytyjskich podpisali oświadczenie, iż „potępiają uciekanie się do wojny dla rozwiązania sporów międzynarodowych i wyrzekają się jej, jako narzędzia polityki narodowej w ich wzajemnych stosunkach“ (t. zw. pakt Kelloga). Podpisanie wspomnianej umowy dało powód do całego szeregu manifestacyj, wyrażających wiarę w pokojową przyszłość świata: między innemi francuski minister wojny, p. Paul Painlevé zgłosił wniosek, żeby nazwę „ministerstwo wojny“ od tej chwili zmienić na „ministerstwo armji“. Nadzieje na pokój wieczysty, obudzone podpisaniem „paktu Kelloga“, nie dochodzą jednakowoż tak daleko, żeby którekolwiek mocarstwo zdecydowało się w najmniejszym nawet stopniu zmniejszyć siłę i gotowość bojową swej armji i floty.

Zbliża się doroczna wrześniowa sesja Zgromadzenia Ligi Narodów. Zwraca uwagę fakt, że rząd niemiecki (aczkolwiek lewicowy i kierowany przez socjalistę, kanclerza Hermana Müllera) na delegatów Niemiec mianował wybitnych polityków z różnych stronnictw, między nimi przywódcę zdecydowanie opozycyjnej partji niemiecko-narodowej, von Lindemann-Wildau'a. Polska, która na obecnem zgromadzeniu Ligi mieć będzie do załatwienia sprawy trudne i ważne, jak sprawę normalnych stosunków z Litwą, jako delegatów, oprócz ministra spraw zagranicznych Zaleskiego, wysyła: p. Franciszka Sokala i p. Hipolita Gliwica. Pozatem pośród zastępców delegatów zwracają uwagę nazwiska pp. Benisa, Gwiazdowskiego (rodzony brat red. Grossterna z „Epoki“) oraz Rundsteina...

J. R.

NAUKA I LITERATURA

WALKA O POMORZE

POLSKIEM morzem i Pomorzem coraz żywiej interesuje się nasza nauka, literatura i sztuka. Dowodzi to coraz większego zrozumienia doniosłości naszego dostępu do morza dla mocarstwowego rozwoju narodu, jest świadectwem coraz to ściślejszego scalania się dzielnicy pomorskiej z resztą kraju, coraz to większego oswajania się Polaka z żywiołem morskim, niestety dotąd przez nas tak mało znanym. Także w dziedzinie historji daje się zauważyć od pewnego czasu żywy ruch i zainteresowanie dziejami Pomorza. Jest to tem doniośljesze, że od paru lat toczą już historycy niemieccy, jak Lorentz, Recke, Kayser i inni, kampanję pseudo-naukową, mającą na celu udowodnienie tezy, że Pomorze od najdawniejszych czasów było pod tak silnemi wpływami kulturalnemi i politycznemi żywiołu niemieckiego, i tak nasiąkło niemczyzną, iż traktatem wersalskim z 1919 r. najniesłuszniej zostało przyznane Polsce. Do tego dodać wypada uporczywe dowodzenia nauki niemieckiej, że Kaszubi aczkolwiek słowianie, nie są Polakami i stąd Pomorze nie należy do etnograficznego obszaru polskiego.

Na te i tym podobne zarzuty historjografji niemieckiej odpowiedziała nauka polska całym szeregiem źródłowych i gruntownych prac. A więc ukazało się wielkie zbiorowe dzieło pod red. prof. Kutrzeby p. t. „Gdańsk“, zajmujące się historycznemi i obecnemi stosunkami w Gdańsku. Dalej zbiorowa praca historyków p. t. „Pomorze i ziemia chełmińska“, posiadająca jednak wartość dość niejednolitą. Ukazał się „Rocznik gdański“, będący perjodycznym organem, poświęconym sprawom pomorskim, i wiele innych. Jak dotąd odczuwało się jednak brak dzieła o charakterze naukowym, obrazującego w jednolitym, syntetycznym wykładzie, całokształt dziejów pomorskich. Brak było dzieła, któreby uczyło kochać bursztynowe wybrzeże, a któreby w naukowy sposób odparowało tendencyjne wywody historyków niemieckich. Tem doniośljesze znaczenie posiada wydana przed kilku tygodniami książka prof. Uniw. Jag. W. Sobieskiego p. t. „Walka o Pomorze“. (Poznań św. Wojciech. 1928). Napisał ją wybitny uczony i wyborny stylista, a wlał w nią nietylko wiedzę ale zapał i ukochanie polskiego morza. Jest ta książka ciętą odprawą, na dzieło zbiorowe historyków niemieckich p. t. „*Der Kampf um die Weichsel*“ Berlin und Leipzig 1926/7. Z tym to tendencyjnym elaboratem, rozprawił się już raz

prof Sobieski we francuskiej „*Revue historique*“ z bieżącego roku, a ponadto w ostatnim „Kwartalniku historycznym“ (1928). W nowem swem dziele przeprowadza prof. Sobieski, wbrew twierdzeniom historyka niemieckiego Lorentza tezę, że Kaszubi poczuwali i poczuwają się do jedności z narodem polskim a Pomorze to kraj w swym rdzeniu polski, tylko podstępnie w r. 1308 przez Krzyżaków, a w 1772 przez Fryderyka II został Polsce zrabowany. Postarajmy się w paru słowach podać treść tej ciekawej książki.

Wykazawszy w pięknym wstępie znaczenie dostępu Polski do morza, odpowiada autor na pytanie, kto był najdawniejszym mieszkańcem Pomorza? Nie jest wykluczone, że w czasie wędrówek narodów, przebywały tu przez pewien czas plemiona germańskie, ale czyż z tego powodu mogą dzisiejsze Niemcy rościć sobie pretensje do tej ziemi? Prawa do ziemi zyskuje się jedynie przez pracę nad nią i głębokie umiłowanie a nie chwilowy tylko pobyt. W barwnym wykładzie przedstawia nam autor dzieje Pomorza i troskę o jego całość i kulturę ze strony książąt polskich. Polacy to, a nie Niemcy przynieśli tu cywilizację, pozyskując Pomorze dla chrześcijaństwa. O jakiemś samodzielnym państewku gdańskiem za czasów Bolesława Chrobrego, jakiego chce się doszukać Keyser w książce „*Die Entstehung von Danzig*“ (1924), niema w myśl wywodów autora ani mowy. Jest to tylko wymysł mający widocznie usprawiedliwić dziwaczny stosunek prawno-polityczny obecnego Gdańska do Polski. Pierwszym polskim władcą który „zrozumiał nasz problem dostępu do morza i temu zagadnieniu całą duszę oddał“ był Bolesław Krzywousty, przez Pomorzan „wilczym synem“ zwany. On to walczył zaciekle z separatyzmem pomorskim, podsycanym przez reakcję pogańską. W walkach Krzywoustego o Pomorze nie słychać nic o Gdańsku, z czego należy wnioskować, że gród ten był zupełnie uległy Polsce a władza Krzywoustego była bezsporna i bezpośrednia. Niestety rozbicie dzielnicowe, przypadające na czas równoczesnego parcia Niemców na wschód, spowodowało naprzód utratę Szczecina w w. XII, a następnie w r. 1227 względnie 1233 niezawisłość książąt pomorskich od reszty Polski. Rozbicie dzielnicowe ułatwiło ogromną falę kolonizacji niemieckiej w w. XII i XIII, a następnie nieszczęsne sprowadzenie Krzyżaków w r. 1226. Pomorze wzięte jest teraz w dwa ognie, od zachodu przez margrabiów brandenburskich a od wschodu przez Zakon, i w śmiertelnym tym uścisku coraz to bardziej terytorjalnie topnieje. Po jasnych chwilach za Przemyśla II, niewątpliwie polską tę ziemię zajmują podstępnie Krzyżacy, odcinając, przez usadowienie się w Gdańsku, Polsce dostęp do morza. Pomimo wytępiającej akcji germanizacyjnej Zakonu, Pomorze zostało polskiem i pociągnięte urokiem wolności polskiej podniosło powstanie w r. 1454, żądając żywiołowo przyłączenia do Polski. Spełnił to żądanie Pomorzan pokój toruński z r. 1466. W dobie reformacji, zauważył słusznie prof. Sobieski, wiara luterska niosła przedewszystkiem germanizację kraju. Dla polskości uratował Kaszubów promieniujący z Polski katolicyzm. Niestety wiek XVI przynosi wzrost separatyzmu żywiołu niemieckiego na Pomorzu. Że niemczyzna czyniła tu tak wielkie postępy, przypisać należy sąsiedztwu Księstwa Pruskiego ale również i temu, że zamiłowania Polaka XVI w. ograniczały się tylko do posiadania wybrzeża ze względu na korzyści handlowe stąd płynące, a natomiast brak było dążności do panowania na morzu. Przecież Klonowicz już pisał „Strach pomyśleć o morzu głębokiem“. Na tem właśnie załamywała się zdrowa myśl polityki morskiej niektórych naszych mężów stanu. Proces germanizacji zwiększa się gwałtownie po r. 1772, mimo to i w poprzedzającej rozbiór konfederacji barskiej i w powstaniu kościuszkowskiem, biorą pomorzanie żywy udział, zadając kłam legendzie o ich zniemczeniu. Mimo głębokiego upadku politycznego w w. XIX, polskość, może niewidoczna na zewnątrz, tkwiła pod powłoką niemczyzny. Filareci pomorscy z r. 1840, czy niszczenie katechizmów niemieckich przez Kaszubów są tego dowodem. Dowodem wreszcie na to jest i szybkie oswobodzenie się z pokostu niemieckiego po przyłączeniu Pomorza do Polski w r. 1919.

Tak przedstawia się w najzwięźlejszym skrócie treść omawianej książki. Zapoczątkuje ona niewątpliwie jeszcze żywszy ruch naukowy w sprawach pomorskich, nauczy niejednego kochać bezcenną ziemię kaszubską i skieruje do pracy nad jeszcze ściślejszem kulturalnem złączeniem jej z macierzą. A że praca prof. Sobieskiego napisana jest wybornym stylem, przejrzyście i jasno, znajdzie się ona niewątpliwie nie tylko w rękach uczonego ale i szerokich kół czytelników.

Kraków KAZIMIERZ LEPSZY

PATRJOTYZM VERNE'A

ŚWIAT uczcił w b. roku stulecie narodzin Juljusza Verne'a, wychowawcy młodych pokoleń we wszystkich krajach cywilizowanych — i proroka zdumiewających wynalazków naszej doby. Przy tej sposobności wyjaśniono ostatecznie, że Verne był rdzennym Francuzem, a nie Polakiem z pochodzenia, ani Żydem z Polski. Niejeden Polak trochę się tem zmartwił, my jednak tego zmartwienia nie podzielamy. Dlaczego? Verne, należy przypomnieć, poza niezwykłą inteligencją, bajeczną wyobraźnią, talentem narracyjnym, odznaczał się głębokiem zrozumieniem idei narodowości. W jego powieściach niema ani typów „uniwersalnych“ ani objawów łatwego przystosowania się jednostki kulturalnej do środowiska (*mimicry*). Każdy bohater ma swą ojczyznę i swój charakter narodowy, niejeden swą narodowość podkreśla, jest z niej dumny, za ojczyznę cierpi, dla ojczyzny, a nie dla innej zasady zdobywa się na bohaterstwo. Oto kapitan Hatteras, wymarzony zdobywca bieguna północnego, na grzeczny komplement Francuza: „gdybym nie był Francuzem, chciałbym być Anglikiem“— odpowiada prosto z mostu: „Ja gdybym nie był Anglikiem, chciałbym być Anglikiem“. Oto Michał Strogow, carski kurjer, przedziera się przez płonący wschód, udając ślepca — by spełnić rozkazy władcy i uratować panowanie Rosji na Sybirze. Wspaniały kapitan Nemo, mściciel uciemiężonych Indyj, topi na dnie oceanów ścigające go fregaty wielkobrytańskie. Trzech Rosjan i trzech Anglików rywalizuje ambitnie w podróży naukowej po Afryce południowej. Trzech magnatów węgierskich uknuło spisek celem zrzucenia austryjackiego jarzma; dwóch ginie w ucieczce z więzienia, trzeci, Matjasz Sandorf, zmartwychwstały jako dr. Autekirtt, niby nowy kapitan Nemo, wypuszcza aż trzy nautillusy na morze Śródziemne, chwyta swych prześladowców i skazuje na śmierć. Kanadyjska „rodzina bez nazwiska“ okupując śmiercią grzech swego ojca zdrajcy, którego nazwiska musiała się wstydzić. A ten Cyrus Smith z „Tajemniczej Wyspy“ czyż to nie apoteza specjalnie amerykańskiej twórczej siły ducha? A ta opowieść o „Pięciuset miljonach Begumy“ czyż to nie pieśń chwały na cześć ideału francuskiego, pieśń potępienia dla bismarkowskich Niemiec? Za 250 miljonów odziedziczonych po indyjskiej księżniczce Francuz buduje idealne miasto-ogród, istny raj na ziemi; Niemiec za takież 250 miljonów kombinuje potworne działo, którego pocisk obleci kawał świata i zmiażdży dzieło Francuza... Że jednak złość jest złą

doradczynią więc dr. Schwartz pomyli się w swoich obliczeniach, i — spudłuje gdzieś w zaświaty.

Jules Verne odczuwał duszę i dumę różnych narodowości; na Niemcu wziął niezgorszy rewanż, Anglików przezornie uhononował, Rosjaninowi oddał sprawiedliwość, Węgra oderwał od Austrji. Polsce nie poświęcił ani jednej stronicy poza krótką wzmianką o portrecie Kościuszki w salonie kapitana Nemo. Milczenie dość zrozumiałe, kiedy się zważy, jaki chłód panował dla nas w Trzeciej Republice po r. 1871; byłoby ono jednak przykre i szpetne, gdyby ten znawca i chwalca różnych patrjotyzmów był emigrantem-zaprzańcem polskiego pochodzenia.

Dlatego to nie zmartwiliśmy się zbytnio, gdy rozwiano nam legendę o polskości Juljusza Verne'a. Taki, jakim był, Verne odegrał u nas w pewnej mierze rolę budziciela patrjotyzmu (przeceniać jej nie chcemy), w okresie, kiedy warszawskie dziecko uczyło się kochać ojczyznę z „Serca" Edmunda Amicisa, o ile je mogło czytać w wydaniu zagranicznem, a nie jako ocenzurowany „Pamiętnik chłopca".

W. K.

ZE ŚWIATA NAUKOWEGO

W Ostendzie zmarł znakomity uczony, profesor prawa karnego i b. rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego ś. p. dr. Edmund Krzymuski. Zmarły był autorem wielu dzieł z zakresu filozofji prawa oraz prawa karnego, ogłosił też w r. 1918 własny projekt części ogólnej kodeksu karnego polskiego.

W nauce polskiej ś. p. prof. Krzymuski zajmował stanowisko odrębne, jako najwybitniejszy u nas przedstawiciel t. zw. klasycznej szkoły prawa karnego, która w instytucji kary widzi przedewszystkiem akt sprawiedliwości, w odróżnieniu od poglądów, dostrzegających w niej tylko cel praktyczny—„obronę społeczeństwa" przed grożącemi mu ze strony przestępców niebezpieczeństwami.

*

Niedawno odbył się w Warszawie XXXV Kongres światowego Towarzystwa Prawa Międzynarodowego, założonego w r. 1873 w Gandawie. Celem Towarzystwa jest współdziałanie w rozwoju prawa narodów przez dyskusje, przygotowywanie wniosków, projektów umów międzynarodowych i t. p. W przeciwieństwie do Instytutu Prawa Międzynarodowego, założonego w Gandawie w tymże roku, a grupującego nieliczne tylko grono uczonych-specjalistów (uzupełniające się drogą kooptacji), na członka Towarzystwa ma prawo zapisać się każdy, niezależnie od zawodu, byleby opłacał przepisaną w statucie składkę. Warto zaznaczyć, że fakt powyższy nie wpłynął bynajmniej na obniżenie poziomu Towarzystwa, sprawił natomiast, iż prace jego są w wyższym stopniu wyrazem tendencyj praktyki, aniżeli projekty Instytutu.

Obecnie na prezesa Towarzystwa Prawa Międzynarodowego wybrany został profesor uniwersytetu warszawskiego, dr. Zygmunt Cybichowski, znakomity uczony, autor najlepszego polskiego podręcznika prawa międzynarodowego.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

„Gazeta Warszawska" (w nr. 242) przystąpiła do ogłaszania w odcinkach pracy Romana Dmowskiego p. t. „Na granicy dwóch wieków". Kiedy piszemy tę notatkę, ukazało się dopiero 10 odcinków, obejmujących część pierwszą, która nosi tytuł „Położenie rasy białej i cywilizacji europejskiej". Rozpoczęta część druga ma nagłówek: „Życie gospodarcze i społeczne". Znakomity pisarz wzbił się na wysoki punkt — widzenia współczesności, skąd obejmuje stosunki świata współczesnego na kontynencie wzajemnej zależności i w perspektywie zarówno dziejów, które do stanu obecnego doprowadziły, jak i dziejów, które leżą przed nami. Tak przynajmniej sądzić należy z założeń. Będzie to znakomite, jak już teraz widać, dzieło z zakresu publicystyki politycznej, oparte na analizie przekroju dziejów, spiętrzonych nad chwilą obecną, dzieło orjentacyjne wielkiej miary, doniosłego znaczenia praca nad wymierzaniem perspektywy politycznej dla Europejczyka, nietylko dla Polaka. Niewątpliwie z czasem wyjdzie ta praca w osobnej książce, należy jednak czytać ją na gorąco w miarę druku w dzienniku. Przejrzystość i zwięzłość wykładu zadziwiająca.

*

Jednocześnie czytamy w dziennikach, że ukazał się pierwszy tom pracy naukowej prof. Kazimierza Bartla o perspektywie malarskiej. Słychać, że dzieło to ma dużą wartość. Notujemy ten fakt w zestawieniu z dziełem Dmowskiego o perspektywie politycznej, bo tak złączyła je chwila bieżących zainteresowań literackich. Ani nas dziwi ta koincydencja, ani nie gorszy, że premjer ma upodobanie i możność naukową. Przy całym szeregu innych sposobności mieliśmy możność wyrażania żalu, że p. Bartel nie dzieli się publicznie, jako kierownik polityki, wiedzą swoją o perspektywie politycznej. Ale to inna sprawa. Dmowski zapewne nie chciałby też mówić o perspektywie malarskiej, zwłaszcza publicznie.

*

„Bibljoteka Laureatów Nobla", ulegając naleganiom krytyki, wprowadziła do swych tomów korzystne ulepszenie: oto dzieła pisarzy mniej znanych w Polsce zaczęto opatrywać przedmową. Piękną taką przedmowę zamieścił Stanisław Wasylewski na czele „Kleopatry" — zbioru nowel zapomnianego już nieco pisarza niemieckiego, Pawła Heysego. Dowiadujemy się z niej, że pisarz ten, którego długi żywot był prawdziwym pomostem od epoki romantycznej do przedproża wojny światowej, miał silną skłonność ku literaturom romańskim (zwłaszcza ku włoskiej, stąd sam siebie przezwał „*italianissimo*"), czemu też przypisać należy pociąg szczególny do nowelistyki, która z całej jego puścizny największą po dziś dzień ma wartość. — Wprawdzie bez wstępu, ale zato z wyczerpującemi przypisami tłumacza, wydano ponownie, w wierniejszym przekładzie, jedną z najsłynniejszych powieści R. Tagore'a „Dom i świat", mającą w sobie splot rozwiązań na tle indyjskiego patrjotyzmu i nacjonalizmu. — Szkoda, że poskąpiono wstępu do czwartego już tomu dzieł Karola Gjellerupa; tom ten obejmuje powieść „Młyn na wzgórzu", bardzo ciekawą w budowie i w swych zagadnieniach etycznych, uwypuklonych zapomocą kontrastów w charakterach osób. — Do szeregu tłumaczy przybył ostatnio J. Parandowski, w którego przekładzie i z którego przedmową ma się ukazać dzieło France'a „Genjusz łaciński". Podobno toczą się rokowania o nabycie do B. L. N. kilku Kasprowiczowskich przekładów Tagore'a i innych.

*

Niezmiernie silne wrażenie wywiera lektura książki J. Kessela „Krwawy Step", wydanej w dobrym przekładzie M. Domańskiej („Rój" 1928). Jest to szereg opowiadań o Rosji Sowieckiej, przedstawiających dosadnie, a prawdziwie, okropne zezwierzęcenie obyczajów, jakie zapanowało w krainie „dyktatury proletarjatu". Pierwsza z nowel p. t. „Śpiew Fedki Kulawego" opowiada o profesorze gimnazjalnym, który przeobraża się w hersztа bandytów. „Lalka"—to dzieje dwunastoletniej dziewczynki, która uwiedziona przez spekulanta, wstępuje na drogę prostytucji i morderstwa. Reszta nowel — to tragedje czrezwyczajki, która nie oszczędza nawet dzieci („Dziecko, które wróciło"), a dorosłym zadaje już przed śmiercią najokrutniejsze z mąk moralnych („Krzyżyk") lub upadla ich dusze, wiodąc ich na drogę judaszowego handlowania życiem ludzkiem („Podziemia Nr 7"). Najtragiczniejsze jest chyba opowiadanie „Wyprzedaż starych łachów", gdzie mowa o kacie czrezwyczajki, Chińczyku, sprzedającym odzież straconych, po której krewni lub znajomi więźnia dowiadują się o tegoż losie.

U SŁOWIAN

Znany czeski polonofil, publicysta Václav Dresler wydał ostatnio w praskiem wydawnictwie „Orbis" zebrane w książkowej formie swe uwagi o prasie polskiej (ogłaszane w ub.r. w piśmie „*Zahranicni politika*" pt. „*Sedma velmoc v Polsku. Dnesni stav polskèho tisku*" („Siódme mocarstwo w Polsce. Dzisiejszy stan prasy polskiej"). Dzieło to jest pierwszorzędnym środkiem informacyjnym o dziejach i obecnym stanie polskiej prasy — takim, jakiego my w języku polskim niestety nie posiadamy. Po krótkim przeglądzie dziejów rozwoju prasy, uwzględniającym szczegółowiej lata wojenne, przedstawia kolejno i charakteryzuje wszystkie pisma codzienne według odcieni politycznych, jakie reprezentują. Zajmuje się istniejącemi niedostatkami organizacyjnemi, omawia problemy i zadania przed prasą stojące i daje sylwetki szeregu najwybitniejszych publicystów. Starannie ułożone zestawienia statystyczne uzupełniają tę monografję, za którą, mimo kilku usterek, może być prasa polska szczerze red. Dreslerowi wdzięczna.

*

Poezja bułgarska otrzymuje obecnie nowe epos narodowe, utwór pt. „*Czeda na Bałkana*" („Dzieci Bałkanu"), które ogłoszone dotąd tylko we fragmentach już przyniosło swemu twórcy tegoroczną państwową nagrodę literacką. Autorem utworu jest wy-

bitny liryk i epik Kirił Christow. Utwór opiewa ostatnią bułgarską walkę o wolność r. 1912, jako dzieło pomsty za klęski przodków i końcowy — zdawało się wówczas Bułgarom — akt dzieła zjednoczenia narodu. Duża siła wysłowienia i gorące uczucie patrjotyczne przenikające utwór zyskały mu nader pochlebny sąd krytyki.

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

P. Thierry Sandre, który stoi na czele stowarzyszenia pisarzy byłych kombatantów, autor „*Chevrefeulle*" i „*Mousseline*" publikuje obecnie powieść bardzo patetyczną pt. „*Les Yeux Fermès*" (Nouvelle Revue Française). Bohater jej, kaleka wielkiej wojny, jest zupełnie ślepym. Młodziutka Michelle, jego infirmierka wychodzi za niego za mąż. Przed straszną tą katastrofą mówiła mu często, iż w życiu należy się poświęcać, potem jednak tego słowa nie używała i podała ślepemu swe ręce z „zamkniętemi oczyma". Ale mąż Michelle cierpi i zaczyna być torturowany zazdrością, bo straszne podejrzenia wkradają się do jego serca co do uczuć Michelle i ich przyjaciela Jacques. Wzruszający ten dramat oddał autor z dużą subtelnością myśli i finezją stylu.

*

W „*Nos Marionnettes*" (Editions de France), p. Francis de Croisset, znany autor dramatyczny przedstawia najrozmaisze typy współczesnych marjonetek. W tomie tym, zawierającym ciekawe rozprawy o sztuce dramatycznej, znajdziemy również interesujące uwagi o obecnej moralności, przyjaźni, miłości zazdrości itd. P. Croisset zna dobrze psychologję duszy kobiecej i poświęca jej stronice pełne ironji, ale i głębokiej prawdy na temat np. tego, co kobiety naogół wymagają od mężczyzny. Niemniej interesujące są rady, jakie autor daje dzisiejszym mężom jak i trafne obserwacje, odnoszące się do nowych stosunków, które zapanowały pomiędzy płcią t.zw. niegdyś słabą a tą drugą, przezwaną nie wiadomo zresztą dla jakich powodów mianem brzydkiej.

*

„*L'Echauffourée du Metro*" jest właściwie rodzajem opowieści o zabarwieniu bardzo filozoficznem. P. Pierre Grasset opisuje nam zamknięte w czasie 24 godzin w „metrze" t.j. kolei podziemnej, na przestrzeni stacyj Madeleine-Opera najrozmaitsze typy ludzkie. Ludzie ci żyją tam jakby na odludnej wyspie i występują ze swemi zaletami, miłością, dążeniami społecznemi, politycznemi. Fantazję tę autor przeprowadził bardzo zręcznie i ciekawie.

TEATR

WYSTĘPY JARACZA.

TEATR Narodowy, pozyskawszy na gościnne występy znakomitego artystę Jaracza, który widocznie na stałe nie chce czy nie może się nigdzie angażować, przystosował do jego woli swój letni repertuar. Dla tego wystawiono tam „Szczęście Frania" Wł. Perzyńskiego, o czem już tutaj donosiliśmy, a bezpośrednio po tej sztuce „Pana Brotonneau" Flersa i Caillaveta. Obie sztuki nienowe i bardzo do siebie podobne z psychologji bohaterów głównych i koncepcji dramatycznej. Przyczem trzeba stwierdzić, że dramat Perzyńskiego powstał wcześniej niż pokrewna sztuka francuska.

Już to samo, że Jaracz zestawił te role obok siebie do porównania, jest dowodem jego świadomości artystycznej, że jednak są to role różne i że można je zestawić właśnie dla popisu talentu aktorskiego.

Franio i Brotonneau to nietylko dwa odmienne temperamenty przy podobnym charakterze, ale i odmienna pozycja społeczna i odmienne rasy. Z tą ostatnią różnicą polskiemu artyście było nieco trudniej poradzić. Jaracz jest tak bardzo typem polskim i tak głęboko gra sercem, że udawać innej rasy nie może. Tak zresztą jest zawsze ze sztukami obcemi, że są przekładane nie tylko językowo, ale i temperamentowo.

Gra Jaracza zasługuje na studja ze strony teatrologów, jest tak nieporównanie swoista, mądra i kosztowna dla artysty. Jaracz tak dalece pozbywa się maski aktorskiej, że widz czuje się zaplątany w jego dramat osobisty, wzrusza się bezpośrednio, ma wrażenie, że tam niema roli pisanej.

Szkoda, że nie mamy w literaturze studjów porównawczych o aktorach żyjących — toby zagrzało stosunek do sceny i wielu nauczyło, gdyby pokazać publiczności na czem polegają różnice stylów oraz indywidualności w grze: Frenkla, Kamińskiego, Solskiego, Jaracza, Junoszy-Stępowskiego, Maszyńskiego, Stanisławskiego.

Na rzut oka w Jaraczu czujemy aktora, który w swym zawodzie jest poetą lirycznym i melancholikiem i dobrze porozumiewałby się np. z Prusem jako typem sobie pokrewnym.

Z. W.

NOTATKI i MATERJAŁY

O TEATRZE CHIŃSKIM

O TEATRZE chińskim coraz więcej słyszymy. Do Moskwy przybył obecnie teatr chiński, wystawiający dzieła pisane przed 2000 lat. U nas stała się sztuka chińska głośną z powodu wystawienia „Kredowego Koła" według przekładu Klabunda, który teraz właśnie umarł.

Chińczycy dzielą dzieje rozwoju swojej sztuki dramatycznej na cztery okresy, z których trzeci, na przełomie wieku 13-go i czternastego, uważają za złoty wiek dramatu i komedji. Do tej epoki należą dwa słynne zbiory sztuk teatralnych (twa-ki) z czasów dynastji mongolskiej: zbiór stu sztuk (podobno na początku było aż pięćset) i zbiór sześćdziesięciu sztuk. Znany jest jeszcze zbiór dziewięciu sztuk z 17 i 18 stulecia. „Kredowe Koło" należy do „zbioru stu sztuk (Juan-jen-saki-poczong). Nie jest to najcenniejszy dramat tego cyklu. Większą cieszy się sławą Pipa-ki (dzieje gitary Pipy) i „dzieje pawilonu zachodniego".

Prawdziwe teatry t. j. budynki stawiane umyślnie dla przedstawień scenicznych, płatnych i dostępnych wszystkim, istnieją w Chinach tylko w bardzo dużych miastach jak: Pekin, Szanghai, Kanton i t. p. wszędzieindziej przedstawienia teatralne odbywają się po klasztorach lub w kasynach kupieckich i tylko sporadycznie w dni uroczyste, albo celem uczczenia znakomitych gości. Szkół dramatycznych niema. *Impresario* jest nauczycielem, reżyserem i żywicielem teatralnej trupy, którą zwykle niemiłosiernie wyzyskuje. Jeżeli *impresario* jest bogaty, kostjumy teatralne są wspaniałe; lśnią od jedwabiu, kaplą od złota i mienią się od różnobarwnych, misternych haftów. Wszystkie role kobiece grają chłopcy, a więc taksamo, jak w Anglji za czasów Szekspira. Aktorzy chińscy są przeważnie znakomici i odznaczają się zdumiewającą pamięcią. Każdy z nich umie 100 — 150 ról na pamięć, grając je na zawołanie bez przygotowania.

Sale teatralne są prostokątne, a scena tworzy rodzaj estrady wysuniętej ku widzom. Kurtyny niema. Urządzenie sceny nadzwyczaj prymitywne; niema nawet napisów, jak za czasów Szekspira: „tu jest las" „tu jest mur"*). Wszystko zastępuje wyobraźnia widza. Generał, który stacza bitwę, niema wojska, a tylko chorągiewki za pasem, z których każda wyobraża tysiąc żołnierzy.

---

*) G. Souliè: *Essai sur la littérature Chinoisse.* Paryż 1912.

Jeźdźiec nie wjeżdża na scenę, ale wchodzi takim krokiem, jakby się kołysał na koniu i trzyma w ręku bat, a masztalerz odprowadza domniemanego konia z wszelkiemi ceremonjami.

Sztuki teatralne mają swoje reguły bardzo ścisłe. W dramatach historycznych obowiązuje styl klasyczny; w scenach podniosłych i lirycznych, styl poetyczny, pełen przenośni i aluzyj bardzo subtelnych i mało komu zrozumiałych. Tylko w scenach z codziennego życia, dopuszczalny jest język potoczny, a nawet dialekt. W niektórych dramatach wszystkie te style są pomieszane.

Dramaty chińskie mają zwykle cztery akty, ale czasem aż szesnaście. Przedstawienia ciągną się niekiedy bardzo długo 6 — 8 godzin z rzędu. Większość widzów mniej rozumie sztukę, niż my operę, tembardziej że w czasie pewnych scen lirycznych lub heroicznych przygrywa muzyka, która innych instrumentów używa w historycznych sztukach, a innych w obyczajowych.

Jeżeli sztuka pisana jest wierszem, co w dramatach jest regułą, w każdym akcie wolno posługiwać się autorowi tylko jednym i tym samym rymem(!) co możliwe jest tylko w języku chińskim, posiadającym tysiące słów o tem samem brzmieniu. Rytm zato, podlegajacy w poezji chińskiej bardzo ścisłym regułom, jest w dramacie luźny. To wszystko sprawia, że przekład sztuki chińskiej na jakikolwiek inny język nie może być wierny i może tylko przypominać oryginał.

Autorem „Kredowego Koła" jest Li-Hein-Tao o którym nie wiemy nic więcej jak tylko, że żył za dynastji Juan 1278 — 1368. Dodajmy, że w Chinach tak autorzy dramatyczni jak powieściopisarze ukrywają się często pod pseudonimami, bo ten rodzaj twórczości literackiej uważany jest za podrzędny i nie przynosi także materjalnych korzyści. Tantjemy i honorarja autorskie są w Chinach nieznane. Pełny tytuł chiński Kredowego Koła brzmi: P a o-t a i-c z i-c l i-k o n-d v i-C a n-K i-c r i-c a-c r i (Jak radca Pao przy pomocy kreski kreślonej wapnem, swoją mądrością odkrył prawdę) sztukę tę przetłumaczył na język francuski słynny fr. sinolog Stan. Julien prof. *College de France* (który zapoznał Europę z wielu arcydziełami literatury chińskiej) i wydał w Londynie w 1832 r. p. t. *„L'histoire du cercle de craie*. Było to pierwsze tłumaczenie St. Juliena, więc znajdują się w niem liczne usterki. Z tłumaczenia francuskiego, przełożył „Kredowe Koło" na niemiecki Wollheim da Fonseca, a ten przekład przerobił w r. 1925 Klabund, dosyć zręcznie, ale zacierając w wielu miejscach chiński charakter sztuki i zmieniając treść dowolnie przez wprowadzenie do dramatu osób i scen w orginale nie istniejących. Zdaniem p. A. Forke który obecnie przetłumaczył dosłownie „Kredowe Koło" z chińskiego i usunął omyłki St. Gallona, przeróbka Klabunda pokazuje widzowi niejeden rys iście chiński, ale zmieszany z niemczyzną bardzo nieraz współczesną. Czan-Lin n. p. jeden z bohaterów dramatu, należy do tajnej organizacyi i miewa komunistyczne mowy.

Literatura chińska jest nadzwyczaj bogata. Kiedy cesarz Kien-Lon, w wieku 18-ym nakazał uczonym sporządzenie katalogu dzieł godnych przedruku, naliczono 160 tys. arcydzieł! Gdybyśmy nawet cyfrę tę zmniejszyli o jedno zero, to mimo to literatura chińska, przedstawiałaby się nadzwyczaj okazale. Znamy jej tylko okruchy, z których widzimy, że posiada nie jedną cenną perłę, ale trzeba umieć ją dojrzeć. Na to, aby zasmakować w literaturze chińskiej, trzeba się w niej rozczytać z powodu odrębnej techniki pisarskiej, odrębnego rodzaju humoru, innej filozofji życia i innych przesądów. Niestety dotychczas tłumaczono z chińskiego przeważnie dorywczo, na chybił trafił, bo sinolodzy, których jest bardzo mało, nie rozejrzeli się jeszcze dobrze w olbrzymim materjale.

Przeróbka Klabunda jest pierwszą próbą dostrojenia dramatu chińskiego do europejskiego smaku. Pod względem artystycznym nie wypadła świetnie — pod względem kasowym prawdopodobnie doskonale.

Kielce FELIKS CHWALIBÓG

NA MARGINESIE

P. Adam Niemojewski w przedostatnim numerze „Myśli Niepodległej" (nr. 930) bardzo pochlebnie ocenia poglądy w sprawie reformy Konstytucji wypowiedziane niedawno w tygodniku „Świat" przez p. Witolda Giełżyńskiego. Artykułowi swemu p. Niemojewski daje charakterystyczny tytuł: „Głos u c z c i w e g o sanatora w sprawie reformy konstytucyjnej".

Najciekawsze, iż jak widać z treści artykułu, przytoczony tytuł nie miał bynajmniej na celu złośliwości ani szykany. P. Niemojewski pragnął poprostu powiadomić swych czytelników, że p. Witold Giełżyński jest w obozie sanacyjnym zjawiskiem wyjątkowem, i że w stosunku do niego określenia „sanator" nie należy tu rozumieć w zwykłem, powszechnie przyjętem znaczeniu.

Trudno, zaiste, o straszniejsze świadectwo dla „sanacji m o r a l n e j" po dwuletniem z nią doświadczeniu...

*

Ogłoszony skład delegacji polskiej na obecną sesję Ligi Narodów liczy, oprócz ministra, 18 osób. Wszyscy należą do obozu lewicowego, nazwisk, któreby się odznaczyły w dyplomacji widzimy bardzo mało, natomiast znajdujemy pięciu żydów i to na stanowiskach najwybitniejszych; obaj delegaci, kierownik referatu, sekretarz generalny oraz radca prawny. Osobną pozycję stanowi nieodzowny dr. Chodźko. Niewątpliwie skład ten odpowiada stylowi Ligi, ale w sposób przesadny. W Polsce żydzi stanowią 13% ludności, w delegacji 30%.

*

Dla zorjentowania się, jak dzisiaj stoimy w ruchu wydawniczym, zajrzyjmy do Korbuta pod r. 1828. Setka lat ma w sobie coś z rytmu dziejowego i lubimy się według tej cyfry w czasach rozglądać. Otóż w r. 1828 A. Mickiewicz wydał „Konrada Wallenroda" i napisał „Farysa". W tym roku wyjechał do Petersburga. Z. Krasiński wydał „Grób rodziny Reichstalów", S. Goszczyński napisał „Zamek Kaniowski", Maurycy Mochnacki „Myśli o literaturze polskiej", o tem samem napisał Michał Grabowski. Poezje wydali Gosławski, J. N. Kamiński, J. Massalski. Bronikowski wydał dzieła „Kazimierz W. i Esterka", „Zawieprzyce" powieść pt. „Hipolit Boratyński"; Bernatowicz „Nałęcz", Supiński „Arcez", Żółkowski „Szarlatan", Jaraczewska „Wieczór adwentowy". Romuald Hube wydał w tym roku „O teorjach prawa kryminalnego", Hoene-Wroński „Prawo celowości w hazardzie", Lach Szyrma „Anglja i Szkocja", Siarczyński „Obraz panowania Zygmunta III. Wcale ładne rzeczy ukazywały się przed stu laty, co nie pozwala nam zbyt wynosić się dumą nad tamte czasy. Zwłaszcza w literaturze pięknej plon był znakomity: i w poezji, i w powieści, i w dramacie. Kwitła też krytyka literacka (Mochnacki i Grabowski), kwitło życie literackie. W r. 1828 Stefan Witwicki napisał rozprawę pt. „O reputacji autorów za ich życia". Wartoby ten temat dzisiaj poruszyć.

*

„Wiadomości Literackie" ogłosiły inteligentną ankietę z nagrodą za „najinteligentniejszą" odpowiedź. Inteligentne zadanie brzmiało: wymienić „dwanaście najsympatycznejszych postaci literatury polskiej". Nagrodę otrzymał jeden z poetów, pisujących do tego organu, wymieniając pięć postaci z dzieł Żeromskiego, potem (przez protekcję Żeromskiego) 3 postaci Prusa. Pozostałe 4 punkty przypadły: Sienkiewiczowi, Kaden-Bandrowskiemu, Mickiewiczowi, Tetmajerowi. Mickiewicz byłby przepadł gdyby nie Jankiel, Sienkiewicz — gdyby nie Petronjusz. Okazuje się z tego, że w $^{5}/_{12}$ świat ludzki sympatyczny się stał dla poety dzięki utworom Żeromskiego. Wiele przypisywano, często słusznie, czarowi Żeromskiego, ale żeby jego ludzie byli „sympatyczni", to słyszymy poraz pierwszy. W Mickiewiczu dzisiejszy poeta nie znajdzie nikogo sympatycznego krom Jankla. Znikli w jego blasku: Konrad, ks. Piotr, ks. Robak, Zosia... Inny pisarz „Wiadomości Lit.", p. Miller, napisał kiedyś, że w „Panu Tadeuszu" jeden jest tylko człowiek z sensem, mianowicie Buchman, ale i to dureń. Jankiel może nie tyle sympatyczny, ile odpowiedź „inteligentna", bo jakże inaczej podobać się „Wiadomościom". Zgóry wiedzieliśmy, że będzie Jankiel. Rzecz dziwna, że dzisiejszemu literatowi nie przemawiają do serca postaci Fredry, Słowackiego, Wyspiańskiego... Ale jeszcze dziwniejsze, że w świecie literackim można sobie zadawać takie inteligentne pytania i „inteligentnie" tłumaczyć się ze swoich sympatyj, opartych na pierwiastku irracjonalnym. Bardzo to wszystko jest charakterystyczne dla obecnego poziomu tego świata.

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel, 25-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr 17, 2-gie piętro. Tel. 11-90.
WARUNKI PRZEDPŁATY: kwartalnie z dostawą zł. 6, rocznie zł. 24, za granicą kwart. zł.9. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.
Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI
Druk. A. Michalskiego, sp. z o. o., Chmielna 27. Telefon 27-15. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM